

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice — Wrocław — Szczecin, 2 czerwca 1946

Nr. 16 (27)

Jan Wiktor

Działacz niestrudzony

Powiat strzelecki zawsze słynął z tego, że jest najbardziej polski, najniezłomniejszy, najbardziej bohaterski w walce z Niemcami. Najwięcej głosów padło za Polską w czasie plebiscytu, najwięcej bitew stoczono w czasie powstań, najhojniej zasiano grobami poległych i zamęczonych. Tutejszy mieszkaniec oddawał życie za Polskę, widzianą w snach i legendzie, a później, w czasie pokoju, oddawał siły w pracy dla niej.

Dzisiaj czytam na łamach jednego z pism uwagi o osadnictwie i wyznania chłopów, którzy, częstokroć bezprawnie, wdarli się do gospodarstw zasłużonych działaczy polskich i poniewierają ich za to, że żyli za czasów niemieckich, że byli obywatelami państwa niemieckiego i nie dali się wymordować przez gwałt hitlerowski i wynarodowić, ale zachowali ziemię i mowę. „Podobają się nam tutaj gospodarki i nie pójdziemy stąd dalej. Po czekamy aż Niemców przepędzą“.

Zboczyliśmy z wyznaczonej drogi chcąc odwiedzić znanego działacza, na którego czyny patrzaliśmy przed wojną, w czasie szalejącego terroru hitlerowskiego. Był on zawsze wzorem niezłomnej pracowitości, nieustraszonej odwagi, był budzicielem opolskiego ludu, jego mocą, można powiedzieć, że był stalowym pancernikiem, ochraniającym zniczą, zatajony w mowie, zabezpieczony w paciery, przekazywany z pokolenia na pokolenie, gdzie indziej już zgaszony i zdeptyany.

Po światowej wojnie, po powstaniach, po tragicznych ich skutkach, ten działacz pierwszy zaczął rozwijać skromną działalność jakby wąty płomyk, ukryty w poronionej dłoni przeniesiony pod serce, tak bardzo umęczone, chowające wspomnienia cierpienia, doznanych klęsk i przesładowań. Na nic się nie zdały polskie wysiłki w czasie plebiscytu, na nic się nie zdały porwy powstańcze. Żelazne ogniewa nie pękły, owszem, coraz brutalniej zaciskały się, dławiały. Należało ratować zagrożone życie polskie. Nawet spod krzyża, znaku miłości, ofiary i męczeństwa, spadała twarda niemiecka pięść i wołała w imię Ukrzyżowanego — ausrotten.

Polskie życie, wyrzucone zewsząd, zaczęło organizować na mocnych podwalinach, a to na spółdzielniach, tam, gdzie było można „Rolnik“ i „Bank“. Pierwsze posiedzenie odbywało się w szopie, szumnie nazwanej śpichlerzem, na workach ze zbożem. Nie było za co kupić papieru, więc zaproszenia pisały na 50-markówkach zupełnie zdewaluowanych. Przybyła garść działaczy, dając dowód odwagi. Selbstschutz, Szupo i żandarmeria zaarrestowała uczestników i wyprawa do sali zgromadzeń pod gradem kamieni, urągani.

Uczestnicy zostali oskarżeni za nielegalne zebranie i za obrazę państwa, gdyż zaproszenia pisane były na banknotach. Żaden nie cofnął się. Szeregi powiększały się z biegiem lat. Opór zmieniał się w twórcze działanie. W zniemczonym powiatowym mieście, otoczonym wsiami, zamieszkałymi przez lud polski, należało stworzyć ognisko życia. Znowu nasz działacz rzuca szaleńczy pomysł: budować dom. — Rozpętała się burza wśród Niemców. Wydłubać mózg, odciąć ramiona, aby nie śmiały podjąć jednej cegły. — Mimo gróźb, podłożył podwaliny i powoli, z uporem wznosił kamienicę celowo urządzoną, mieszczącą biura banku, salę teatralną, pomieszczenie dla stowarzyszeń. Codziennie piechotą albo na rowerze przybywał ze swojej wioski, aby kierować budowlą, aby gromadzić zasoby, materiały,

aby zachęcać innych i nawoływać do czynu. Otwarcie domu było świętem, mającym przełomowe znaczenie dla całej okolicy. Później ten dom miał odegrać rolę bastionu wśród obcych żywiołów, usiłujących go zburzyć, a jego działanie można porównać do serca, rozprawdzającego ożywczą krew polską. Spadały kary pod najblaszym pozorem, a za nimi też i kamienie. Często bratnie, tylko zniemczone lub przepokupione ręce, tłukły okna. Ledwo wprawiono nowe, już w nocy je roztrąskano. Szkoda pieniędzy, więc założono drewniane okiennice i urzędowano w zimnie w czasie mrozów.

Cechą jego była rzetelność w postępowaniu, uczciwość w wypełnianiu obowiązków, wytrwałość i niezłomność w działaniu, przedsiębiorczość nie zapalczywa, krótka, słomiana, wybuchami darząca, ale twarda, wytrwała, doprowadzająca do urzeczywistnienia wszelkich zamierzeń, poczętych z myślą o dobro ogółu. Polak i chłop — zawsze wyznawał — w jedności stopieni. — A godności Polaka i chłopca nigdy, nie pozwolił obniżyć, znieважаć. Zalety słowiańskie, odziedziczone po przodkach, wzbogacił, zahartował, wzmocnił w ciężkich warunkach, w nieustannej, uporczywej walce z Niemcami. Chłopskość u niego to uczciwość, polskość — to gotowość do ofiar, to odwaga w służbie dla niej. Tacy zawsze są współtwórcami życia i dziejów ludzkich. — A tutaj tak często można spotkać takie jednostki nieugięte, których nakazem wierność Polsce w działaniu, ale nie w krzykach na obchodach, czy przy stole biesiadnym.

W pierwszym dniu wybuchu wojny zaarrestowany razem z synem i wywieziony do Buchenwaldu, gdzie niemal sześć lat spędził. Zaraz potem żona, wypędzona z gospodarki, wyszła z 10-cio kilogramowym tłumoczkami w gromadzie siedmiorga dzieci. Nie zapłakała, ani jednej łzy nie uroniła, aby przed urągającym wrogiem nie okazać słabości, czy żalu. Wyszła wyprostowana, chociaż w sercu, przesywanym siedmiu mieczami, czuła rozpacz, a na plecach ciężar straszliwszy niż krzyż.

— Z ojcowizny wyganiają. — Jednakże niezachwiana wiara miłosiernymi rękami nadziei zdejmowała to brzemie.

— Wrócimy. Polska nas tutaj przyprowadzi z powrotem na zawsze. Macierz najlepsza... Ojczyzna — a po drodze, między bagnietami strażników, szeptała niezłomnie — śmiało patrzeć wrogom w oczy — nie zapłakać. Dzieci, żeby się was Polska nie wstydziała... Ojciec nasz, który jesteście w niebiosach...

Gdzieś z dala od wsi rodzinnej na niemieckim folwarku, na usługę u obcych, pracowała jako wyrobica najbardziej poniżana, potyrana, pogardzana i wyzyskiwana. Milczała, zachowując godność, dostojność i powagę. A w najboleśniej-szych chwilach niemieckiej pychy, ogłaszającej zwycięstwo, zawsze w tej Ślązaczce brzmiała mocno:

— Polska wyprowadzi nas z niewoli, uciemżonych i przywiedzie w progi domu ojców. My wygnańcy Ewy...

Gospodarkę polską zajął Niemiec i pomnożył się przez sześć lat w dobrobycie. Uciekł po pogromie, na wieść o zbliżającym się froncie. Nieświadome ręce podpaliły dom jako niemiecki i zniszczyły wszelkie dobro w ciągu lat oszczędnością zdobyte.

Jeszcze dym unosił się nad zgliszczami, kiedy gospodyni wróciła.

— Trzeba się od nowa dorabiać. Żeby ino mąż przyszedł. — Jeżeli ziemia została to nam życie zostało.

Z gromadą dzieci zamieszkała na boisku. Zraniona, przy pracy nie dała się zmóc, ale ostatek sił krzątała się, aby obrobić pole, aby zaprowadzić ład przed powrotem męża. Ciężka choroba powaliła ją na barióg a i wtedy była myślą wszędzie, na każdym zagonie, pamiętała o każdej skibie; wydawała polecenia małym rękami, dodawała siły, aby nie przerywały pracy.

— Do ostatniego tchu pracować. Nie wolno zejść z zagonu, bo to zagon Polski. Trzeba uprawić, obsiać, zebrać najniklejszy kłosek, bo tyle biedy na świecie, bo tak bardzo chleba potrzeba głodnej Polsce.

Dzieciska sklepiły z desek barak na końcu dziedzińca. Byleby pod swoim dachem zostać i przetrwać najgorsze.

Wrócił gospodarz z Buchenwaldu. Z radością podązał. Zastał zgliszczami, ruinę wysiłków całego życia. Na miejscu domu dostatniego — nagie mury i okopcone kominy jak wykrzykniki rozpacz na gruzach.

Przeszliśmy przez podwórze, zawalone cegłą, drzewem. Cała rodzina przy pracy, w zgodzie, bez wrzasków, bo tylko stukot siekier, bo tylko łoskot zabiegów rozlegał się na obejściu, w każdym zakątku.

Zastaliśmy go za stodołą wśród wiór i drzazg. Ciosał belkę. Na nasz widok topór wbił w bierwiono, otarł rękę o spodnie i wyciągnął na powitanie z serdecznym uśmiechem.

— Nigdybym się was nie spodział. Ani nie mam czym ugościć, ani w dom zaprosić, bo — wskazał ruchem na zniszczenie. — Chciałbym choć pokryć te mury. Muszę się śpieszyć, bo czas nagli a o pomocnika trudno, bo czym zapłacisz. Dawnośmy się nie widzieli. Dużośmy przeżyli — chwalać Bogu — szczęśliwie.

W ciągu rozmowy nie przechwalał się cierpieniem, nie wtlaczał na serce swojej korony cierniowej i nie zdzierał jej, aby okazywać rany i krew wycieczoną, nie skarżył się, nie wymyślał na to co zastał, nie labidził nad swoim położeniem i nad tym, co postradał i nie rozpaczal jak gdzie żył. Powiedział krótko:

— Bóg mi nie poskąpił sił. A były mi potrzebne dawniej, a teraz też. Dużo się odmieniło na świecie przez sześć lat.

Perspektywa

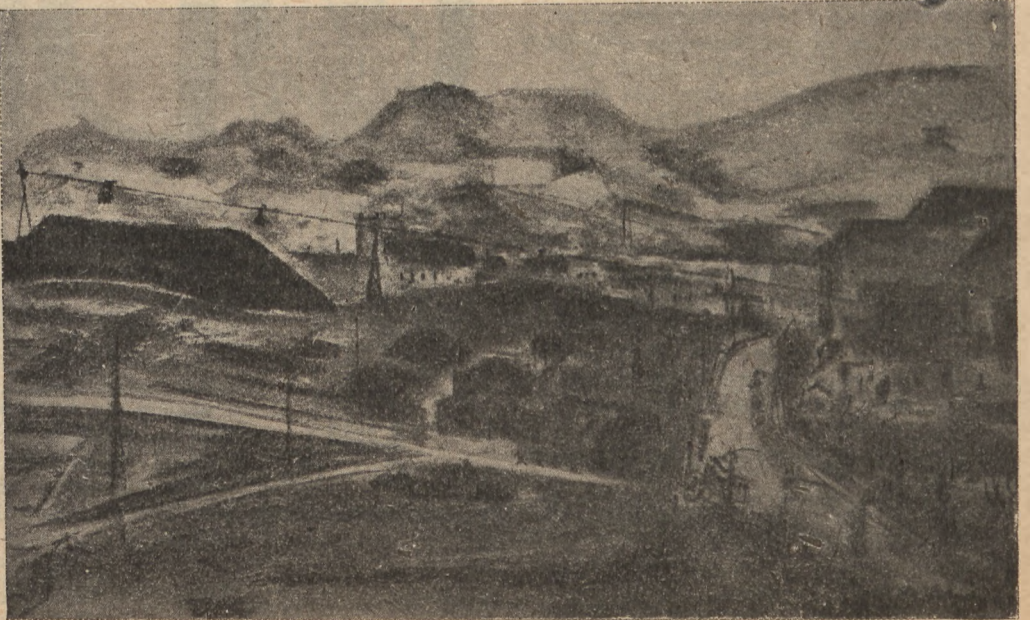
Odry

Krajobraz Ziem Odzyskanych, do którego tak łatwo się przyzwyczajają nasze uczucie i nasze oczy, powinien stać się drogi sercu każdego Polaka. Nie ma w nim nic obcego, każdy kamień przydrożny i rosnące obok brzeziny zagajniki są takie same jak w reszcie Polski. Niezdobyty to jeszcze krajobraz przez poezję polską, nie popisało się też malarstwo polskie, które poza nielicznymi wyjątkami (dwie wystawy dwojga malarzy w Wałbrzychu i we Wrocławiu) dalekie jest wciąż jeszcze od przeżycia artystycznego tego nowego polskiego krajobrazu.

Należy się radować, że coraz więcej ludzi wyjeżdża na Ziemie Odzyskane dla ich poznania. Już nie tylko chęć z bogacenia się i łatwego zarobku pcha ich w kierunku na zachód i północ. Po Karkonoszach włączają się samotni harcerze, robotnicy i urzędnicy przebywający tam na wczasach, w jeziorach mazurskich kąpią się już nie sami szabrownicy, nie wystarczyło by zresztą wód mazurskich dla obmycia ich grzechów — ale więcej nauczyciele, uparci fanatycy polonizatorzy tych ziem, lub ciągnący tu bodaj na kilka tygodni poszukiwacze piękna ziemi i wody, woni lasu i wsi.

Jest rzeczą pożądaną, by w nadchodzący czas wakacji letnich jak najwięcej obozów młodzieżowych przeniesiono na terytory Ziem Odzyskanych. Niech wakacje te młodzież lub starsi spędzają pod hasłem poznania i pokochania krajobrazu Ziem Odzyskanych. Niech wyludnią się uzdrowiska w głębi kraju, niech opustoszeją wylisiałe już od częstego deptania ścieżki beskidzkie. Niech w to lato zaroją się Ziemie Odzyskane od młodzieży i starszych, szukających spoczynku w przemyśle z ziemią piękną i polską. Im więcej poznamy i pokochamy te nasze ziemie, tym mocniej stać będziemy na straży ich polskości, ich przynależności do Rzeczypospolitej.

Życie praktyczne zorganizowało się już na Ziemach Odzyskanych na tyle, że nie sprawi tu żadnego trudu przyjęcie i goszczenie tylu gości. Najmilej widziana będzie młodzież. Winni ją tu ujrzyć przebywający tu jeszcze a szykujący się już do odjazdów Niemcy, winni usłyszeć jej śpiew w miasteczkach i wsiach Pomorza Zachodniego i ujrzeć jej śmiałe ciała kąpiące się w Odrze. Może łatwiej wypełni ich wtedy rezygnacja.



Wiktor Reif: Droga do Węglewa

— Wiele sił potrzeba. A tak je marnujemy.

— Przez lata pobytu w Buchenwaldzie dusze się kruszyły pod ciosami, łamały, ciała jęczały. Przecierpieliśmy wiele.

— Dużo się załamało w ciężkich warunkach.

— Z nas nikt się nie załamał, bo każdy wierzył, że Polska zwycięży. Nikt nie śmiał wątpić. Mocna wiara była duszą. Prawda i sprawiedliwość zawsze była dla nas — Polska...

Spojrzałem w bok, łacheć ziemi coś mi przypominał i przerwałem rozmowę.

— To tutaj?

— Tak — wyrzekł — tutaj padli. Kadeci ze Lwowa. Razem z dziećmi śląskimi walczyli o Śląsk w powstaniu. Umierali w polu, pod lasem, obok chałup. Dużo było potyczek. Nasza wioska przechodziła z rąk do rąk.

W końcu została w polskim władaniu. O, w tym miejscu stała maszyna, o tam, spoza tamtego płotu rozwijała się tyralierka — przypomina szcze góły bitwy, obrazowo opisuje jej przebieg, kreśląc palcem na ziemi, opowiada o śmierci lwowskich orląt, które z dalekich, wschodnich kresów przybiegły, aby wspólnie walczyć o ziemie piastowskie z jej synami.

Słucham uważnie, nie chcąc stracić jednego ruchu, spojrzenia, słowa. Zdaje mi się, że odczytuje opowieść z pergaminu, z kart księgi wiecznego bohaterstwa, miłości, poświęcenia. Każde ziarno piasku wzięło puls ich serc.

Resztki liści drzą na gałęziach, chcąc coś wyrzec, a tylko bezsilnie szeleszczą i spadają powoli, jakby krwawe łzy spływały z czyichś obolałych oczu, płaczących jesienią. To drzewo było też pokaleczone, wzięło w siebie kule, wymierzone do ludzi, więc ma prawo wołać i świadczyć. Bezimienne ręce przeniosły stąd w nieznaną miejscą ciała żołnierzy walczących o Śląsk. Wsiąkała krew, jak w chustę matki, rozpostartą pod krzyżem.

Nikt nie uczcił nagrobkiem, a przecież pamięć ich wciąż niezmiennie trwa. Żyjący z nabożną czcią pokazują miejsca, jakby wizerunki krwawe, pozostawione na zawsze, w całun spowite na wieczny żywot w opowieści, w klechdzie, przenoszonej z serca do serca.

I wtedy pomyślałem, że krew poległych wsiąka w glebę i stała się duszą tej ziemi, a dusza poległych weszła w pamięć tego ludu i stała się miłością, gotowością do ofiar, pobudką do walki o prawa i wolność. Ich puls nawet po śmierci zachowany w opowieści budzi odrębny wiałe serca, ożywia i budzi miłość. Głośno wyrzekłem pragnąc kogoś uczcić.

— Ta ziemia żyje pamięcią umarłych w bohaterstwie, a ci wciąż odradzają się w klechdzie, która prawdą jest i iścizną żywych.

— My czcimy umarłych po prostu: modlitwą, a Polskę — miłością.

Gospodarz później poprowadził nas po swojej dziedzinie, przeproszał za nieład i pokazywał czego dokonał, co go czeka, musi się śpieszyć, bo mogą śniegi spaść, mrozy chwycić, a ma zamiar choć do jednej izby przed zimą się sprowadzić.

— Moglibyście obecnie otrzymać wsparcia gospodarstwo.

— Jaktó? — zapytał zdziwiony, bo wysoki poziom moralności opolskiego ludu, którego był wiernym przedstawicielem i głęboka religijność, nie mogła pojąć tej prostej prawdy, że można przywłaszczyć cudzą własność i kogoś skrzywdzić.

— Tyle zostało po Niemcach — ciągnę dalej.

— Nie chcę niczych dóbr. Na cudzym gospodarzyć, kiedy mam swoje. Tyle lat walczyłem o każdą skibę. Dawniej Niemiec gwałtem mnie wyrzucał z ojcowizny, a ja trwałem. Choćby stu siekierami odrąbał korzeń za korzeniem, to i tak bym nigdy nie ustąpił. A teraz jacyś ludzie dobrowolnie z ojcowizny wyrzucają? Nie! Nie! To nie do pojęcia. To by przeklął ojcowie moją pamięć, to by mnie się zaparli kiedy bym ku nim szedł po zapłatę za życie — wyrodku. Nie wolno mi stąd odejść. W nieszczęściu dobrem mnie darzyła, a teraz...

— Nie macie żadnego sprzętu. Z desek legowiska...

— Zwyczajnie jak po pogorzeli. Ciężko bez grata się obejść. Nie ma na czym spać.

— O właśnie... właśnie.

— Na razie trzeba się obejść. Później sobie sprawię, niech się tylko uspokoi. Trzeba się od nowa dorabiać. Przyzwyczajony jestem. Dość się naponiewierałem z synem w obozach, a żona z dziećmi po cudzych kamieniach i posadzkach. Teraz nam lżej.

— Moglibyście dostać urządzenie z opuszczonych mieszkań.

— Innym się przyda. Cudze zabierać? w cudzym mieszkaniu?

Jakże to, Nigdybym nie miał spokojnej godziny. Na co bym spożrał, cobym do ręki wziął, toby wszystko mówiło do mnie: ukradłeś. Grzech i gańba. Dnia ani nocy nie miałbym spokojnej.

— Wielu mówi — wojna mnie doszczętnie zniszczyła, dobytek straciłem, więc muszę się odkuć, choć część odebrać. Dziejniejsza moralność, aż nazbyt pobłażliwa, przebacząca usprawiedliwia zachłanność.

— U nas nikt tak nie myśli. Jest poszanowanie cudzej własności. Przejdźcie Śląsk krzyż w krzyż, a na wsi u rolnika, należącego do Związku Polaków, nie znajdziecie ani jednego grata, łacha, który by sobie przywłaszczył w czasie przewrotu. My wychowani w innej moralności.

— Należy wam się nagroda.

— Jaktó? — poraz drugi w ciągu tej rozmowy powtórzył, nie mogąc pojąć tak wyrażnych słów.

— Za trud w walce, za wytrwałność w działaniu, za cierpienie, za zasługi, położone dla miejscowego ludu. Za sześć lat Buchenwaldu, za sześć lat męczeństwa? Za to nie wolno żądać nagrody. Nie wolno tego sprzedawać. Nie ma za to ceny, bo cenę zna Bóg i Ojczyzna. Mam honor należeć do narodu polskiego, więc mówię: cierp, kiedy Ojczyzna cierpi, zażywaj chwałę, kiedy Ojczyzna w chwale. Nie zgłosiłem się nawet do Związku Więźniów, bo nie licuje to z moją godnością, abym się wpraszał, udowadniał, a później abym wyzyskiwał i żądał przywilejów. Wszystko czyniłem dla Polski — spełniłem obowiązek syna wobec matki. Nikt nie ma takich skarbów które by mi mógł za to zapłacić. A matka nigdy synowi za miłość nie płaci.

— Ileż sił potrzeba, abyście jako tako się zagospodarowali, zabezpieczyli dzieciom życie.

— Inni są w gorszym położeniu. Muszę odbudować. Od nikogo nie wolno mi przyjąć jałmużny, bolesny to los proszącego. Nie wolno mi nikogo skrzywdzić, nie wolno też siać na zgłiszczach, na kamieniach, załamać rąk i w beczynności trwać, albo włosy targać i bić głową o mur. — Ojczyźnie musi się służyć pracą.

— Z nicości budować?

— Kto zdrowy i silny, to już posiada majątek. Rękami i sercem. Co wypracuje to jest dla mnie drogie, święte, moje i mogę dzieciom przekazać. Ciężkie jest przekleństwo ludzkie za krzywdę, dusza przez wieczność nie dźwignie się spod niego. Nie chciałbym z doczesnego życia zabrać takiego brzemienia.

Idziemy naprzelaj przez łany nieuprawione, zaniedbane, zarosłe wybujałym zielskiem.

— Czyjeż to? — pytam.

— Żal ścisła mówić. Tyle zmarnowanej ziemi.

— Mniejsze role już w dużej mierze obrabione.

— Chłopskie. Jeden drugiemu pomaga. Chłop, żeby pazurami, to zaorze — o tam — wskazał zagony zieloniejące oziminy, bujnie wschodząca, darząca radością oczy. Nie raz przychodzi stary gospodarz, przed wojną bogacz, a dzisiaj nędzarz bez krowy i konia i mówi — serce mało nie pęknie, kiedy widzę pole leżące ugorem, jak zaorać, jak zasiać? Jestem bezradny... Ani krowy, ani konia, ino te dziesięć palców.

— A przecież nie upada w zwątpieniu i rozpacz. — W jakiś cudowny sposób, przy bożej pomocy, obrabi, zaorze, zasiaje.

Teraz depczemy zielska. Wzrokiem nie możemy ogarnąć tych obszarów umarłych, a może przez człowieka zamordowanych. Smutek ogarnia na widok urodzajnej ziemi, zachwaszczonej, ugorem leżącej, zawsze dawniej darzącej hojnym plonem. Smutek się powiększa, obrzymuje, gdy wstepujemy poza ogrodzenie dworskie. Pustka i grabież.

— Czy to skutki wojny? czy może tutaj toczyły się walki?

— Ślepa mściwość kazała niszczyć to, co mogło służyć człowiekowi. W pierwszych tygodniach po wyzwoleniu niemal wszystko było nienaruszone. Nieprzeliczone bogactwa, zbierane w ciągu długich lat przez pokolenia tego rodu, w którego władaniu były te majątkowości. Wspaniały pałac, zaopatrzony w zabytki to istne muzeum i biblioteka. Trzy folwarki, postawione na najwyższym poziomie kultury rolniczej. Kilka tysięcy hektarów urodzajnej, pszennej i buraczanej ziemi.

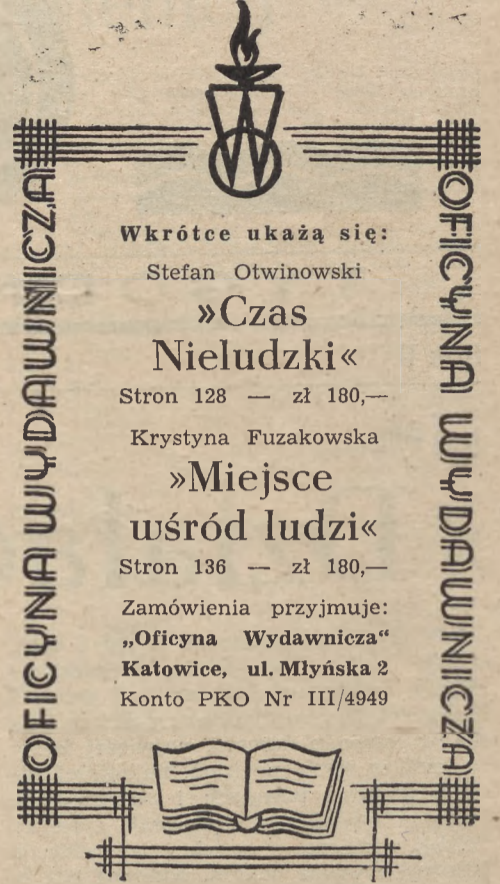
— A dziś?

— Ha, dziś pałac ograbiony, zabudowania zniszczone, wydarte wszystko do ostatniego gwoździa.

— Jak boli, jak boli, w tym pałacu mogłaby się mieścić szkoła rolnicza, uniwersytet ludowy, ognisko wiedzy, postępu gospodarczego, kultury duchowej i rolnej, promieniejące na całą okolice.

— Zmarnowany dorobek, mogący służyć przyszłym pokoleniom. Zli ludzie ograbili ziemię, domostwo i odbiegli, zostawiając zachwaszczony łany i ogołoczone ściany. Często łachmaniarze, spekulanci, handełsy i pachciarze, umiejący krzyżać o budowaniu Polski, drąc z niej skórę, szarpając ciała, tocząc krew. Hasło dnia dzisiejszego — oszukać, okraść i uciekać z łupem. — Prawo musi ścigać tych zbrodniarzy, gdziekolwiek by się znaleźli, na jakimkolwiek stanowisku, choćby na szczytach społecznych. Tutaj dokonała się zbrodnia wobec Polski.

— Potęga i bogactwo Polski leży na tych ziemiach. Jak je urządzimy od tego zależy przyszłość nasza. Albo złote pomniki ze szczęścia, albo przekleństwo na długie wieki. Wielu niszczy w swej lekkomyślności takich, którzy by mogli być pomnożycielami bogactw, orężem, obroną, skarbem. Wielu podcina polskość tej ziemi, pień odwiecznej mocy, głęboko wkorzonionej. Tak, tak... aby zdobyć jeden owoc, podcinają drzewo, mogące żywić cały naród w przyszłości. Niechże Polska nie krzywdzi tego ludu rękami synów niegodnych. Ci wciąż nas łżą — „Ślązak, to



Wkrótce ukażą się:

Stefan Otwinowski

»Czas
Nieludzki«

Stron 128 — zł 180,—

Krystyna Fuzakowska

»Miejsce
wśród ludzi«

Stron 136 — zł 180,—

Zamówienia przyjmuje:

„Oficyna Wydawnicza“

Katowice, ul. Młyńska 2

Konto PKO Nr III/4949

nie czysty Polak, to ukryty Niemiec“. Kiedy się wreszcie oczyści? Czy jeszcze mało było ognia? Czy mało cierpiał? Czy mało łez wylał? Czy jeszcze mało się kąpał w krwi, w powstaniach i obozach? — Przez 700 lat wytrwaliśmy w polskości, a teraz czyżbyśmy nie posiadali żadnych praw do polskości, o którą tak niezłomnie walczyliśmy z największym jej wrogiem, którą tak pielęgnowaliśmy w domu, którą przechowywaliśmy w pacierzach... Bolesnie wyznać, ale trzeba... Nie chcę się skarżyć ani nikogo oskarżać. Ale wam powiem — dawniej ciężko było być Polakiem, a teraz nierzaz jeszcze ciężiej — wyrzekł te słowa wbrew woli, bo one spłynęły jak krew z rany, zadanej ręką brata.

— Nie niszczy tego, czego nie zdołał zniszczyć Hitler. Dzisiaj wiele jest płaczu i narzekań, bo przychodzą ludzie, nie znający ducha ludu miejscowego. Trzeba wprawdzie poznać ducha ludu i jego wartości. Jeżeli ugor — to przeorać, jeżeli jałowy — użyźnić, jeżeli nie obsiany — to obsiać nie łzami, ale pożywnym ziarnem. A będzie nim miłość wspólnej sprawy. Nie w mrokach zgnębienia, ale w słońcu. Buta niemiecka zwiędła i została starta, bo krzywdziła i pyszniła się. Spotkała ją kara. O tym powinniśmy pamiętać... Trzeba naród odradzać, oduczać od zła, jakie zostało po Niemcach. Zabłoczone źródła.

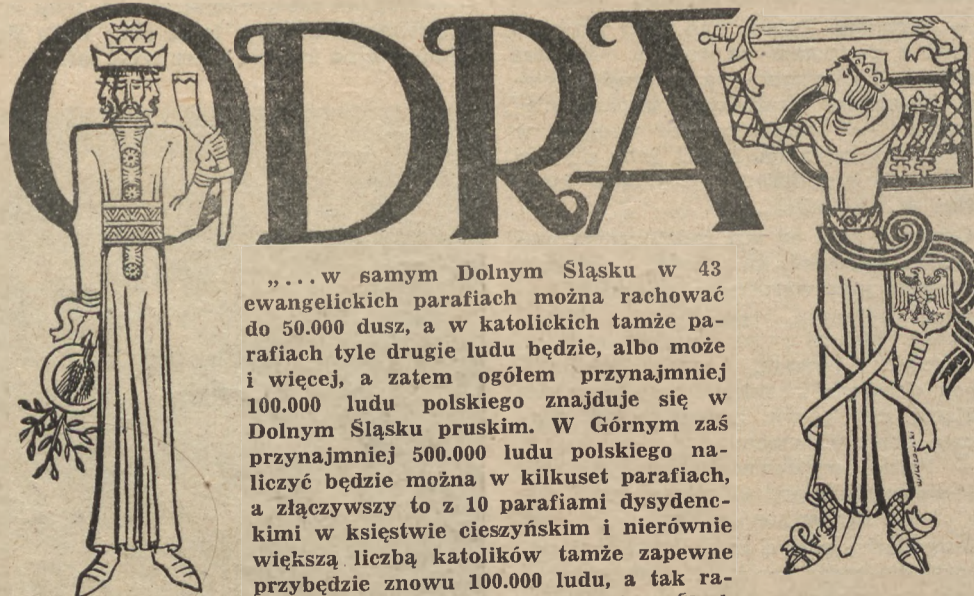
— Tak jest zawsze, tak bywa po burzy. Dużo zniszczeń dużo drzew połamanych, a później wszystko się oczyści i znów pola użyźnione darzą plonem.

— Polskę do Śląska zbliżyć i związać w jedno ciało najtrwałszymi węzłami, a to poszanowaniem człowieka przez prawo i sprawiedliwość. Nie odrodzi się państwo w swej wielkości Dobra, jeżeli nie odrodzi się prawo i poszanowanie władzy. W pierwszym rzędzie musi szanować swe imię i stanowisko władza, bo ona powinna być najgodniejszą częścią Polski.

Odeszliśmy stąd.

Przez wiele dni różnymi drogami wędrowałem po Śląsku i zawsze dumałem nad zdaniami, słyszczanymi w zagrodzie tego działacza. Przejrzałem krzywdy zadane.

— I takich ludzi niegodne ręce odrącają od bram wyzwolonej Polski, do której szli w udręce, w cierpieniu, w niezłomnym boju, chcąc pracować dla jej wielkości. A tutaj tak wielu takich działaczy i takich charakterów, urobionych w niewoli pruskiej. Polskość tej ziemi ujawniła w całej pełni, wyszukiwać nawet zatajone resztki, aby się stały twórczym pulsem odrodzonej Ojczyzny. Przemoc niemiecka wylała koronę z żelaznych cierni na życie tego ludu, ale on dzisiaj nie woła — jam męczennik, jam cierpienie i nie każe sobie płacić za każdą łzę, za każdą kroplę wycieczonej krwi. — Ten lud był bohaterem w boju, nieustraszony w pochodzie do Polski i nie ugięty w pracy. Te zalety składa u stóp RZECZYSPOLITEJ.



„...w samym Dolnym Śląsku w 43 ewangelickich parafiach można rachować do 50.000 dusz, a w katolickich tamże parafiach tyle drugie ludu będzie, albo może i więcej, a zatem ogółem przynajmniej 100.000 ludu polskiego znajduje się w Dolnym Śląsku pruskim. W Górnym zaś przynajmniej 500.000 ludu polskiego należy będzie można w kilkuset parafiach, a złączwszy to z 10 parafiami dysydencjami w księstwie cieszyńskim i nierównie większą liczbą katolików tamże zapewne przybędzie znowu 100.000 ludu, a tak razem 700.000 ludu polskiego zawiera Śląsk cały...“

(Jerzy Samuel Bandtkie: Władomość o języku polskim w Śląsku i polskich Szlązakach. Z pierwodruku z r. 1821 wydał Bol. Olszewicz, Wrocław 1946).

Eryk Skowron

Dla Rady przestrogi i rady

Na*) pierwszym posiedzeniu Śląskiej Rady Kultury w dniu 21 lutego br. jej przewodniczący, Dr. Roman Lutman, w uwagach końcowych, nawiązujących do spraw poruszanych w dyskusji, stwierdził, że będzie jeszcze trzeba przemyśleć i przedyskutować pytanie, jaką winna być rola i zakres prac Rady Kultury.

W 15 numerze „Odry“ Zdzisław Hierowski przypomina, kiedyś już na łamach „Odry“ poruszaną problematykę, która — jego zdaniem — „z pewnymi niedokładnościami“ została przejęta przez Radę Kultury. Trzeba lojalnie przyznać, że istotnie w październiku 1945 r. Hierowski wołał o plan kulturalny dla Ziemi Odzyskanych, że takiego planu od tego czasu nie stworzono. Trzeba przyznać i to, że Rada Kultury na ogół w tym, co w swoich początkowych wystąpieniach reprezentuje, pokrywa się z październikowymi postulatami Hierowskiego.

Zarówno pierwsze posiedzenie Rady Kultury jak i artykuł Hierowskiego obudziły jednak pewne refleksje, z którymi chciałbym się tu podzielić.

DWOJAKIE POJĘCIE KULTURY

Istnieje dziś nie tylko w Polsce, ale na całym świecie dość rozpowszechniony błąd myślowy, który logika zwie błędem „pars pro toto“.

Za taki nonsens uważam zacieśnianie pojęcia kultury do spraw teatru, muzyki, literatury, nauki, rzeźby, malarstwa itd. Pojęcie kultury należy mimo wszystko pojmować nieco szerzej. Wyliczone dyscypliny „kultury“ stanowią raczej komponenty jednej kultury ludzkiej. Ta kultura w szerokim, a więc właściwym pojęciu, obejmuje wszystkie dziedziny twórczości ludzkiej, począwszy od zwykłej uprawy roli, pracy rzemieślniczej, wszystkich niezliczonych form pracy produktywnej, aż do nauki, poezji i innych czystych sztuk włącznie. Kultura, inaczej mówiąc, jest tym wszystkim, co człowiek robi dla polepszenia swego bytu, dla zubożenia treści i sensu życia.

Jednym z czołowych przejawów tego sui generis partykularystycznego myślenia we współczesnej Polsce jest osławiony spór między t. zw. spirytualistami i materialistami. Jedni i drudzy mieliby słuszną, gdyby teren obserwacji, z którego wyciągają swoje wnioski, nie był fragmentem rzeczywistości życia. Prawdy przez jednych i drugich głoszone, zapatrzone tylko w jedną stronę świata, siłą logiki, mogą stanowić tylko prawdy cząstkowe, niepełne i jednostronne. Poglądy te przypominają dwóch ludzi, opartych o siebie plecami: każdy widzi co innego — każdy sądzi co innego. Tymczasem dopiero obaj razem posiadają pełny obraz całej rzeczywistości, i dopiero obaj razem mogą wydać zupełny sąd o niej.

Stąd też spór ten jest właściwie nie do zażegnania, dopóki nie zostaną zmienione pozycje, dopóki ten, który patrzy w niebo, i ten, który patrzy w ziemię będą się upierali, że tylko jeden z nich patrzy w właściwą stronę.

Tak jak świat, mimo osiągniętego postępu, jest nadal rozparcelowany na anachronistyczne miniatury, tak samo i prawda współczesna stanowi zlepek prawd cząstkowych. Jedno i drugie woła o syntezę. Jedno i drugie woła o nowy harmonijny, organiczny uniwersalny ideał życia ludzkiego. Ortodoksi i talmudyści, którzy bronią uparcie prawd przedawniowych, odraczają i utrudniają powstanie tej syntezy i oni to zasługują w pełni na miano reakcjonistów.

SEKCJA Z GRAŻYŃSKIM

Dotychczasowa koncepcja zakresu zadań Rady Kultury jest właściwie powtarzaniem zadań już istniejących instytucji, jak Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki, Informacji i Propagandy, Instytutów Naukowych, Towarzystwa Przyjaciół Nauk itp. Jeśli by Rada Kultury w jakiegokolwiek mierze miała zajmować się sprawami będącymi racją istnienia tamtych instytucji, to chyba w charakterze podnie-

ty, pomysłu lub kontroli. Nie może to jednak w żadnym wypadku wyczerpywać istotnego powołania Rady Kultury.

Przekonamy się o tym najlepiej, przypatrzwszy się blaskom i cieniom rządów Grażyńskiego na Śląsku.

Nikt nie może odmówić Grażyńskiemu pewnych dokonań na wielu polach życia. Wiadomo powszechnie na Śląsku, że za jego czasów wybudowano tu wiele pierwszorzędnych budynków szkolnych, bibliotek, gmachów publicznych, zakładów użyteczności publicznej, że wybudowano na europejskim poziomie wiele szos i dróg. Za czasów Grażyńskiego ukazało się sporo wartościowych publikacji, poświęconych Śląskowi, w życiu społeczno-kulturalnym działało owocnie wiele popularnych organizacji, jak „Sokół“, Związek Powstańców Śląskich, Tow. Śpiewu, Czytelnia Ludowych itd. itd.

Słabe strony rządów Grażyńskiego i porażki, jakie życie polskie za jego czasów odniosło w sąsiedzkiej rywalizacji z Niemcami, płynęły z całkiem innego źródła. Źródło to winno być szczególnie zrozumiałe i doceniane przez pełnej krwi marksistów. Było nim bezrobocie, stosunki społeczno-gospodarcze.

Część społeczeństwa śląskiego, która po 1930 stała się ofiarą kryzysu gospodarczego i demobilizacji przemysłu śląskiego, stała się ogniskiem, z którego rozchodziła się trucizna po całym cieple Śląska. W świetle tej klęski traciły swoją wartość i blaski, prawdziwe przymioty kultury polskiej. Przypominanie Ślązakom ich słowiańskiego pochodzenia i węzłów łączących ich z Polską — w masie proletariackiej, pozbawionej pracy i tym samym chleba, nie budziło właściwego odzewu.

Jest to jedno z najpoważniejszych źródeł deficytu polityki Grażyńskiego na Śląsku, acz trzeba to lojalnie przyznać, nie można jej było zmienić bez zasadniczych zmian w całym kraju.

Obok wymienionego składnika sytuacji społeczno-gospodarczej na Śląsku przed 1939 r. działało oczywiście cały szereg innych, często związanych z nim współczynników. Wymienimy tylko jeden, jak fatalną polityka personalna, zachłanność B. B. W. R-u, no i szereg pokrewnych błędów znanych nam z tych czasów.

Wnioskom, jakie z tej lekcji Grażyńskiego należało by wyciągnąć, musi dać wyraz obecna Rada Kultury przy Województwie Śląskim. Jeśli ma ona spełnić swe

zadanie, które krótko można by określić jako zadanie zespolenia Śląska z całością dążeń kulturalnych i politycznych Polski, to Rada Kultury nie może się ograniczać w swych radach do spraw wydawniczych tylko, tym bardziej o charakterze propagandowym. Widzieliśmy nie dawno, jaką wartość przedstawiają takie wydawnictwa, i ile po nich pozostaje, gdy w poniemieckich bibliotekach oglądaliśmy sterty Goebelowskiej makulatury.

FUNDAMENTY KULTURY POLSKIEJ NA ŚLĄSKU

Najlepsze podwaliny pod gmach polskiego życia na Śląsku położymy, gdy stworzymy warunki, w których ono może zakwitnąć. Na próżno będziemy usiłowali częstować głodnego kwiatami, gdy on potrzebuje kartofla i chleba powszedniego.

Dlatego to budowanie kultury polskiej na Śląsku trzeba zacząć tak:

1. Ze względu na charakter społeczno-gospodarczy Śląska, będącego jedną wielką wytwórnią dóbr, sprawa racjonalnej organizacji pracy, zapewnienia odpowiedniego minimum egzystencji najciężej pracującemu robotnikowi, ochrona jego zdrowia, opieka nad jego rodziną bez względu na wiek i płeć, tym bardziej bez względu na Volkslistę, wysuwa się na czoło zadań. Rada Kultury nie tylko ma prawo wkraczać w te problemy, ale ma obowiązek widzieć w nich podstawowy grunt, na którym dopiero można stawiać całą „nadbudowę kulturalną“. Obecny stan w tych dziedzinach nie tylko odbiega od tradycyjnego stanu na Śląsku, lecz w wielu wypadkach wręcz uraga prymitywnym pojęciom o nich.
2. **Odniemczenie** Śląska musi się liczyć z warunkami historycznymi. Musi się pamiętać, że to co przez wieki narosło, w mgnieniu oka nie może być zmienione. Tym bardziej nie wolno z jakiegoś szowinistycznego nacjonalizmu niszczyć wartości o charakterze ogólnoludzkim tylko dlatego, że noszą pozory a nawet wyraźne ślady wpływów niemieckich. Takie pojmowanie odniemczania jest śmieszne. **Spolszczenie** musi się rozpocząć od rozszerzenia zachowanych pierwiastków polskich, które są tu i bogate i zdrowe.

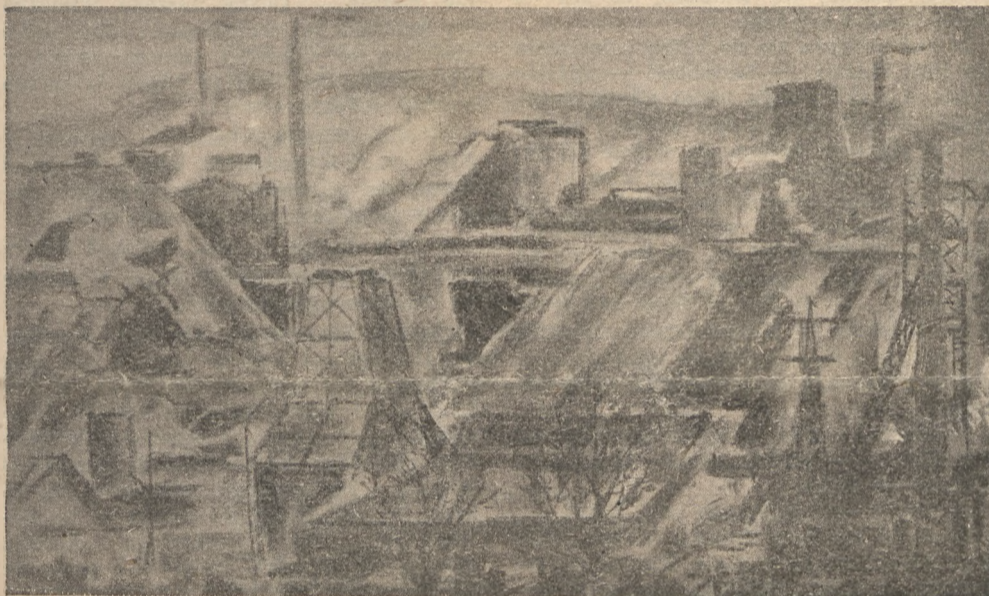
Spolszczenie to musi przede wszystkim sięgnąć do warstwy inteligencji. Trzeba przede wszystkim wychować nową inteligencję śląską spośród synów chłopskich i robotniczych. Proletariatowi śląskiemu należy wreszcie wyrównać krzywdę, jaka mu się działa dotychczas. Jeśli synowie hutnika i górnika mają się stać inteligentami, a więc mają kończyć szkoły średnie i wyższe, to robotnik musi mieć środki na takie wykształcenie swych dzieci. Inaczej oświatowy postulat demokratyczny będzie pustym fraze-sem. Albo też niech państwo bierze koszt takiego wychowania na swój rachunek.

Należy się dziwić, że dotychczas nie została powołana do życia na nowo, istniejąca przed 1939 r. „Śląska Pomoc Naukowa“. Czyż znowu do tych szkół mają uczyć się tylko synowie „kułaków“, sklepikarzy, synowie sfer nierobotniczych?!

3. Trzeba wreszcie także otwarcie zapytać, czy dzieło unifikacji Śląska z Polską musi być konieczne dokonywane nieśląskimi rękami? Czy na prawdę na Śląsku nie ma już inteligencji, rozumiejącej ogólnopolską rację stanu, przygotowanej do pracy publicznej na równi z „przybyszami“? Czyż tacy ludzie tylko dlatego, że są Ślązakami, nie mają prawa kierować tą pracą? Walcząc z partykularyzmem śląskim, nie możemy pielegnować oaz partykularyzmu innego gatunku!

Wylczyliśmy tylko kilka fundamentalnych warunków, do których trzeba po męsku przystąpić.

W ramach niniejszego artykułu nie można ani też nie zamierza się wyczerpać zagadnienia, które, jak nam się zdaje — jeśli chodzi o metodę podejścia do poruszanych zagadnień, — posiada znaczenie ogólnopolskie, a w każdym razie dla całego pasa Ziemi Odzyskanych.



Wiktor Reif: Haldy, węgiel, koks

Wacław Mrozowski

List z Wałbrzycha

Ty prawdy nie znasz. Żałuj bracie,
Lecz oto ona:
klamstwem jest wszystko, co opowiadacie
tam — o tych stronach.

Tu trzeba być i wrosnąć po kolana,
zaczynać znów od młodości.
Przewiać po hałdach, miastach i łąkach
gorącym wichrem polskości.

To com ci tutaj przed chwilą wyznał
to jest stal kuta —
mówisz — że Tam jest twoja ojczyzna...
moja jest — Tutaj.

Myślę, że przecie nigdy nie wróci
ten czas okrutny,
byśmy te gniazda mieli porzucić
z obliczem smutnym.

I wierzę. Siłą serca i rąk twardych
zwyciężym przecie,
i nienawistny ten czas pogardy
jak żywioł zmiecie.

A pokolenia, które przyjdą później,
gdy złożym strudzone kości,
dług swój nam splecą, bo będą nam dłużni
burzę polskości.

Bo wierz mi: Tutaj jest ojczyzna moja
i twoja. Nie ma dwóch zdań.
Jest jedna mowa, Rząd, Prawo i Polska
I Tu i Tam.

Post scriptum

O północy, gdy gwiazdy świecą tu najsilniej
i księżyc za chmury się kryje,
z dna kopalń, z głębi ziemi słyszę nieomylnie,
że serce Polski tu bije.

*) Artykuł dyskusyjny.

Józef Pogan

MOROWA BABA

(Dokończenie)

Bartek Beczków chodził dalej do Franki i może by się był żenił z nią, ale jego rodzice nie chcieli o tym ani słyszeć. Zapedzieli mu, że jak się z tą włóka ożeni, to mu nic nie dadzą, wypędzą go z domu na zbity łeb i niech szuka wiatru po świecie. Nie dziwota, że chłopakowi kręciło się różnie w głowie i bajtłował France jak mógł. Nawet dał jej pieniędzy i kazał iść do akuszerki. Franka się biła z myślami co robić, bo się wstydiła iść do jakiejś pani w mieście. Zresztą może by była i poszła. Ale jej któraś baba doradziła, żeby skąd zeskoczyła na ziemię, ino tak dość z wysoka. No, juźci, nie spod samej kalonki, bo by się przecie na miejscu rozchlasła jak żaba, ino choć z góry na sień. Obejdzie się bez akuszerki i straty. Samo pomoże. Udała się France taka dorada. Jeszcze tego samego dnia poszła se do stodoły i tam się zawarła. Wyjrzała jeszcze szparą w drzwiach na pole, czy przypadkiem kto nie idzie i wylazła na zapolnicę. Spojrzała na boisko. Nie bardzo było wysoko; ale też i nie nisko, bo może kaj na dwóch chłopów. Zdrygła się trochę, bo jakby się tak roztrząsała o twarde boisko... Zlazła nazad i podścielała se snopek słomy, wyjrzała szparą na pole i znowu wylazła na zapolnicę. — Teraz będzie miętko — pomyślała se, ale się czegoś bała skoknąć. Pewnie dlatego, że było trochę za wysoko. Przeżegnała się krzyżem świętym, przymrużyła oczy, ale się aż zatrząsała cała. Czegoś ją strach obleciał. Serce zaczęło jej się tłuc, przedziutko, kieby tatuś młotkiem po babce kiej kosa klepią. Przeżegnała się drugi raz. — Hybnać czy nie? — przeleciało jej przez głowę. Coś jakby jej podszepnęło, żeby nie hybnać i zlazła przedziutko na boisko. Spojrzała do góry i uśmiechnęła się ucieszna że nie skokła i że nic jej się złego nie stało. — Cheba kiejdzie... Będę ta widzieć, co będzie dalej — pomyślała se i poszła do chałupy.

Za któryś dzień potem matka rozpoczęła z córkami straszny swar, a najgorzej już z Franką. — Pewnie ją kto podbuntował, bo strasznie wojowała, aż ojciec uciekł z chałupy. Dziouchy też jej się odszczekowały za jednak, ale Franka ją najgorzej ugryzła. Toli jej pedziała tak: — „Wyście mię też mieli nie zadiugo po ślubie.“

Matka jak to usłyszała, to się aż w niej zagotowało od złości. Jak wzięła mielaka od żaru, to ją chciała zatuc na śmierć. Nic nie pytała, ino waliła: łeb — nie łeb, ślepie — nie ślepie, aż mielak pękł. Franka zarobiła gwałt. Zośka z Julką też, bo się zlekły o nią. Zaskoczyły matce z tyłu i chwyciły za mielak. Ale szkoda gadać, żeby się dało obronić. Matka jak szarpła mielakiem, to im chciała ślepie powyzigować i dalej je młócić po łebach. Rozpedziła wszystkie na cztery wiatry. Za Franką wrzała, żeby się więcej w chałupie nie nawijała taka jaka jest, bo ją na drobne kawałeczki posieka. Niech robi ze sobą co chce, a „taka“ niech jej się nie pokazuje na oczy. Przecie chyba jaki świat długi i szeroki, napewno żadna tak matce nie odszczekła. Niech się teraz powiesi, albo otruje.

Zośka z Julką uciekły na sad, a Franka za stodołę i kucia se w życie. Odginała se sukienki, oglądała siniaki od mielaka i płakała, aż rwało ją. Czoło miała przecięte i krew z niego ciurczkiem lała jej się po głowie. Ocieriała się co chwila fartuchem i macała kaj ją bolało. Była bardzo rozżalona, że aż jej chciało serce pęknąć.

Za chwilę ojciec wyjrzał za nią. Poglądał się wszędy, ale jej nikaj nie zobaczył. — Żeby se też ino, psia dusza, co złego nie zrobiła od żalu — mruknął se i poszedł nazad.

Franka słyszała go i przypomniało jej się, żeby teraz zeskoczy ze zapolnicy. Popłakała se jeszcze po cichu. Nie o to, że ją bolało, ino od żalu. Powycierała se gębę, oczy i wyjrzała ze żyta. Nie było nikaj nikogo. Wzdychała se ciężko i wleciała do stodoły. Ciepla jakiś kłapek słomy na twarde klepisko i bez żadnego namyślenia wylazła na zapolnicę. Przeżegnała się przedko i — — — hyc! Zleciała kieby kamień, że nawet nie miała czasu wrzasnąć. Zaraz ujrzała wszystkie gwiazdy przed oczami. Ale ją w chwili zaćmiło na dobre. Później dopiero czuła, kieby na

śpiączku, że ją ktoś kaś niesie... gada... płacze... coś... kaś...

W sieni Kłapcia ludzie śpiewali „U drzwi Twoich stoję Panie“, a w izbie Książ namaszczał Frankę olejem świętym. Była ciężko chora i wszyscy w chałupie oplakowali ją bardzo. Najbardziej płakała matka i w strasznych dygotkach czekała na Kubę, co odwiózł doktora. Bardzo się czegoś lękała.

Jak książ Frankę opatrzył już na śmierć, tak se siadł trochę i pyta się, od czego ona zachorowała tak ciężko? Stropiona matka nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. Zaczęła się wymawiać, że się dzioucha oberwała, jak dźwigała beczkę z kapustą. Ale jak to jest przymówka, że „na złodzieju czapka gore“ — to też po gadaniu Róży książ zaraz poznał, że ona coś kręci i nie dał się okłamać. Zaczął jej prawić koronkę, że Róża nie wiedziała, kaj ma oczy wrzić. Prawił jej o przykazaniach Boskich, a najwięcej już o sóstym, o grzechu śmiertelnym, o Sądzie ostatecznym i o piekle. Bardzo dużo się nagadał i naprzyganiał.

Wszystkie trzy baby były rozpalone od wstydu i płakały. Raz bladły raz czerwieniły, a na matce to skóra cierpła, kieby ją kto wodą spod lodu oblewał.

Po wyjściu księdza, baby odychły se ciężko. Każdej się widziało, że ma na piersi kamień młyński.

Matka zbliżyła się do łóżka i nachyliła się nad Franką. — Słyszałaś? — spytała cicho. A ona kiwnęła lekko głową. Przygryzła bladziutkie, drzące wargi i zaniosła się płaczem. Matka nie chciała jej robić żalu i odwróciła oczy na izbę... na Zośkę i Julkę. Szarpło jej piersią... zatkło w gardle... i wybuchła gorzkim płaczem. Widziało jej się, że świat się na nią wali, a ona wpada w ciemną, głęboką przepaść... — O Jezus. Jezus. Jezus. — jęknęła boleśnie. — Nieochrzczona dusza...

Zośka z Julką zasłoniły sobą Frankę, żeby nie patrzyła na matkę i nie robiła se żalu.

Przyjechał ojciec i wpadł do izby. — Umarła...? — jęknął jeszcze w progu i doleciał do łóżka.

— Nnnie — wykrztusiły obie córki.

Nachylił się nad Franką, uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. Zrobiło jej się troszkę weselej. Bładymi wargami dotknęła ręki ojca. On ją pocieszył: — Nie

traj się, córuś, bo doktor mi pedział, że wyzdrowiejesz...

— ...Czegóż zaś tak płaczesz, Róża, kiej przecie ona nie konająca? — odezwał się do Róży.

— ...Bo się książ... — ...bardzo... naprzyganiał...

— O Boże — wzdychnął se Kuba, — zbliżył się do baby i zaczął pocieszać: — Róża, nie płacz... nie rozpaczaj... Pan Jezus dobry i miłosierny... Przebaczy wszystko i da, że dzioucha wyzdrowieje, ino Go trza przeprosić za złe i oddać się pod Jego Świętą opiekę.

— Ku... kuba... Moje... dzieci... kochane... Nie mogę... zboleć... znieść...

Nie pomogło perswadowanie Kuby i Róży lamentowała. Serce jej ściśkała okropna żalność o Franke, jakby umarła, a duszę ogarnął lęk przed karą Bożą za tę nieochrzczone duszę. Wiedziała, że przez nią to wszystko, dlatego tak ją przeszło na wylot. Kuba wyprowadził ją do komory i położył tam na starym łóżku, żeby chora Franka nie słyszała wrzasku i nie robiła se żalu.

— Róża, nie płacz — tak — prosił ją — bo ci się może wdać co w głowę od tego... Uśnij, to ci się odmieni...

— Mój drogi chłopie... nie zboleję... nie cierpię... Dusza naszego wnuczka, czy wnuczki nie ochrzczona... Jak będzie grzmiało, to z każdej chmury będzie w nią traskać... Ja ató pójde do piekła, a może i Franka też...

— Nie rozpaczaj, babo — pocieszał ją Kuba, choć i onemu też wlało do głowy trzaskanie pieronów w nieochrzczone dusze. — Pan Jezus daruje wszystko...

— Nie daruje... nie... Żebyś ty był — Trza garoć prosić Boga, to daruje, bo On dobry i miłosierny.

Ucichła troszyczkę, ale nie zupełnie. Kazała mężowi iść do izby i być przy France, a ona sama została. Padła na kolana przed Urkzyżowanym Panem Jezusem i prosiła Go o przebaczenie wszystkich grzechów. Najbardziej się przerażała swoimi i Franczynymi. Strasznie się lękała, że obie pójda do piekła za tę nieochrzczone dusze niezwygłego dziecka. Trzęsa się caluśka, kieby ten pytel we młynie. Kuba i dziouchy zaglądali do niej, cieszyli ją, ale kaj ta? Była jak na pół

umarła, a tak szarpało ją, że jej chciało wszystkie wnętrzności wytargać.

Dopiero może kole półnucka Kuba włożył ją przez moc na łóżko i siadł se przy niej. Była jak ogłupiała. Już nie płakała ino leżała taka nielusa. Zrywała się co chwila i wrzeszczała, bo jej się cosik zwirowało. Coś jakby jakiś chłop zajrzał oknem i tym łańcuszkiem co go raz chłopaki ciepnęli do izby — zażwiczwał. Pokazał na nią łapą, roześmiał się i uciekł. Ten chłop to tak, kieby Bartek Beczków, ino, że miał na głowie kozie rożyską, a u raci końskie kopyta. Róża aż podciępła do góry na łóżku i wrzała przeraźliwie. Drugi raz też jej się cosik takiego swidziało. Dopiero po północy trochę się zdrzemła.

Na śpiączku znowu jej się śniło, że Franka była we welonie i miała iść do ślubu. Aż tu przyleciał jakiś czarny cygan i pojął ją do hulania. Hulali dość długo, aż się Franka obaliła na ziemię i nie mogła wstać nazad. Ten cygan zaczął się z tego strasznie cieszyć i śmiać. Ale w tej chwili skądś zjawiła się jakaś biała osoba, rypta Frankę trzy razy w gębę, a ona zaczęła płakać i prosić, że już więcej nie będzie hulać z cyganem. Wtenczas ta biała osoba chwyciła ją za rękę i podźwięła. Cygan aż zazgrzytał zębami z wściekłości i uciekł zaraz.

Już prawie zaczynało świtać jak Róża odcnęła i zlazła z łóżka. Zaraz wlała do izby i zajrzała do Franki. Była zdrowsza troszyczkę, spała cichuśko, a przy niej siedział ojciec z podpartą na stole głową. Podniósł oczy spojrzął na żonę. Była kieby zabita i oczy miała pododpuchane od wczorajszego płaczu. Siadła se w nogach na łóżku przy chorej France. Cosik se przypominała z wczorajszego i znowu zaczęła płakać po cichu. Popłakała se troszkę, wreszcie otarła gębę zapaską, zbudziła Zośkę, żeby gotowała śniadanie i France robiła herbaty.

Ona unyla się, rozczesala, odziała się chustką i poszła do kościoła.

Było jeszcze wczesna mszę świętą, w kościele nie było jeszcze ludzi ani księdza ino sam kościelnik. Róża kłękła se pod murem przy słuchalnicy, bo się chciała wyspowiadać. Najpierw odmówiła pacierz i ofiarowała go za wyzdrowienie Franki, a potem zaczęła różaniec. Szepotała przedziutko wargami, ręką przesuwała „Ojczenasze i Zdrowaśki“ a głową rozmyślała. Ale nie o robocie, czy o kumoszkach, albo o bajkach jak insze baby, ino o grzechach. Było jej strasznie ciężko na sumieniu. A czym więcej rozmyślała, tym jeszcze ciężiej jej się robiło.

Przy każdym pociorku spojrziała przed ołtarz na Ukrzyżowanego Pana Jezusa i

Mieczysław Frenkel

Słowo o Ostapie Ortwinie

(W czwartą rocznicę śmierci)

Widzę go przed sobą żywego z trójkątem bujnej, szpakowatej grzywy nad foremnym czołem, jak w ogniu dyskusji wykruwa okresy, — dzwoniącego na alarm wstążką od binokli, zamiłowanego szermierza słowa, zawołanego dialektyka. — Przypominam go sobie pochylonego nieco naprzód, jakby się przysłuchiwał rozmowie niższych wzrostem, z lornetką w ręku w czasie przerw premierowych, między jednym aktem a drugim, gdy w toku płynnej jeszcze akcji rozważał, jak też sobie autor poradzi z piętrzącymi się przed słuchaczem problematami i czy zasłużył sobie na ucho krytyka. Najbardziej szczerzy w swym zewnętrznym wyrazie był w domu wśród tych nędznych starych mebelków, na tle półek niepomalowanej szafy bibliotecznej z miękkiego drzewa, obladowanych pod strop książkami, wiecznie konfrontowany z portretem pendzla Pautscha na ścianie, z tym drugim sobą, patrzącym ze ściany na gości. Jako zjawisko nie był wielopostaciowy, nie mienił się w oczach, nie fascynował bogactwem odmian, miał wyraźny, obrysowany profil i musiał utkwąć w pamięć.

Był dzieckiem swego wieku, swojej epoki. Wydarzył się między pozytywizmem a Młodą Polską, interesowały go narównie teorie społeczne jak biologia, znał naukę Marksa, delektował się czystą myślą systemów filozoficznych i z głębokim zajęciem już siwy, osiwiły w służbie u sztu-

ki, studiował Husserla i słuchając wykładów uniwersyteckich o nim, starał się wnikać w jego myśli. Jako kierownik wydawnictwa dużo czytał, nie zasklepił się i nie zwapniał, wiecznie chłonny jego umysł czerpał zewsząd soki żywotne, ciekawy rzeczy nowych, gotowy do walki z jakimś wymagowanym przeciwnikiem, który by nastawiał się na jego bystry, krytycznie i polemicznie wyostrzony intelekt. Wojownik w nim był o wiele starszy od myśliciela i często, dając się unieść temperamentowi bojowca, myśliciel siedział w cieniu miecza i czekał aż zasapany gonieniem wroga krytyk wróci do równowagi. Skala intensywności jego temperamentu przewyższała kilkakrotnie rozległość jego intelektu. Dlatego wypowiedział się ustnie w rozmowach, dyskusjach, słowach końcowych, którymi kunsztownie zamykał wieczory literackie, obficie niż w słowiepisanym. W swoich pracach, zebranych później w tomie zbiorowym „Prób przekrojów“, entuzjastycznie w pierwszym dziesięcioleciu bieżącego wieku Wyspiańskim i podchodząc do jego dzieła dramatycznego sięgał po analogie w ewolucji twórczej Michała Anioła i Beethovena, szukających w słowie ostatecznego zaspokojenia głodu wyrazu dla olbrzymich upostaciowań, nie dających się uchwycić w kamieniu, pendzlem czy w tomach. Był bliskim prawdy o tyle, że symbolizm Wyspiańskiego nie

raz uduchowieniem zastępych w posągi zjawisk dziejowych rozruszał posągi, aby wyrazić wielkość w skarłowaciałym społeczeństwie. Obcowanie ze sztuką Wyspiańskiego wprowadzało w ciasne, ulitarystyczne, mieszczańskie życie owych czasów odżywcze pierwiastki bytowania w niezwykłych wymiarach, gdzie wysoko ponad głowami zapalały się myśli jako hasła, posągi schodziły z cokołów, w gesty mrok dobrobytu w niewoli wpadało światło z góry. Ten entuzjizm ze wspólnej wywodził się gleby, z dumnego poczucia „auch, i sono pittore“.

Jako znawca poezji, badacz jej struktury wewnętrznej, wyrazowej jako składnika uczuciowego, był krytykiem czystej krwi i odkrył w „staffizmie“, według jego własnej nomenklatury, „zasadniczy“ gest twórczości, tę, w swoim rodzaju jedyną formę, jaką u niego ((Staffa) w każdym momencie przybiera nieodmiennie każda poetycka reakcja na zewnętrzne podniety i w jaką układa się stale każda próba emocjonalnego ustosunkowania się do ogólnych zagadnień bytu czy osobistych kolei życia“. Filozofia liryki, której dopatrzył się w dziele Staffa, stanie się kamieniem węgielnym jego wyznania wiary i jeżeli później odrzuci wiersze Pawlikowskiej, wywołując ostry i nieprzebiegający w słowach protest Lechonia, uczyni to ze względu na wyznany przez siebie dogmat staffizmu i na purytanizm myślicielski, domagający się krystalizacji, myśli w wierszu lirycznym jako treści ujętej w piękną formę. Znając z własnego doświadczenia grzech główny ukryty w łatwości rymowania, uczynił z treści wiersza probierz jego wartości i puklerz przeciw grafomanom. Wynikły stąd kwasy i nieporozumienia, krytyk, zaprzysiężony na swoje

zbierał ją straszeczny żal, kieby jej kto serce drutem skrepował. Wargi jej drżały, myliły jej się słowa modlitwy, a w oczach stanęły łzy. Wzdychała se ciężko, aż jej w gardle zatkało. Chciała się ciepłą krzyżem na posadzkę i prosić Boga o zmiłowanie nad sobą i Franką. Ale się trochę wstydziała ludzi, bo już zaczęli wchodzić do kościoła. Obejrzała się na bok, a potem przed ołtarz na Pana Jezusa i chwilę patrzyła na Niego. — O Jezus, Jezus, zmiłuj się nade mną! i...? — nie dopędziła reszty, bo ją płacz zebrał i tak z klęczką ciepła się na posadzkę. Gębę otuliła se chustką i pokrywomiu, po cichuśku płakała żałośnie. — O Jezus z nieba wysokiego, kaj ja się też podziękuję, biedna grzesznica, kaj? Zlituj się też, zlituj i według Twego nieograniczonego miłosierdzia, przebaczone mi, France i tym dwiema dziouchom wszystkie grzechy... Przecie wiesz, o Jezus, że ja pragnę, żeby było jak najlepiej, żeby się dziouchy wydawały i dlatego ich nie pilnowała, a one grzeszyły z parobkami... Ja nie słuchała z razu o niczym, a jakem się już dowiedziała o wszystkim, tom je zaczęła karcić, ale już było za późno. Widzisz, o Jezus, że w tym nie ino moja wina i moich córek, ale i parobków, bo oni kusili córki do złego... Przebaczone nam też, o Jezus, przebaczone, bo już więcej nie dam córkom grzeszyć, póki żyć będę... Nie karz nas po śmierci za to, nie karz i za żywota i daj, żeby się Franka wylili z tej ciężkiej choroby... O Jezus miłosierny, pociesz nas też, pociesz... Przyrzekam Ci, o Jezus, że już od dzisiaj nie będę się zapatrywać na te baby co grzeszą. ani też córki na te dziewczki, co na psów oczy potoczyły... Daruj nam, Jezus, karę wieczną, oddal to zmartwienie i błogostaw w życiu, a ja będę Ci za to odmawiała w każdy dzień po trzy pacierze, po jednym różańcu, w każdy piątek pójdę do spowiedzi, do komunii świętej i jeszcze często dam księdzu na mszę świętą... Jeszcze Cię Jezusie, proszę, jeżeli taka Wola Twoja święta, ukaraj tego Bartka Beczkowego, jakby się z Franką nie chciał żenić, bo przecie przez niego to wszystko... Choćby już nie dlatego, żeby cierpiał jak moja Franka, ale innym parobkom na upamiętnienie, to by tyle nie grzeszyli...

Jeszcze miała o cosik prosić Boga, ale ksiądz przyszedł spowiadać ludzi. Dźwiga się, ale ją jakaś baba podubiegła przodzi. Nawet dobrze się stało, bo ona przez ten czas pocierała se gębę, przypomniała se grzechy i umysłowała jak ma gadać do księdza. Żal opuścił ją troszkę, a zaś strach obleciał przed księdzem, bo nie była pewna, czy jej da rozgrzeszenie. A

jakby też nie dał?... to by już razem z Franką poszła do piekła. Ale i Bartek Beczków też by nie uszedł piekła. No już ci. Chyba by Pan Bóg był niesprawiedliwy, żeby ino onę ukarał, a Bartka nie. Ale sprawiedliwy jest, to go ukarze.

Zamyślała się o Bartku i zaś ją druga baba podubiegła. Za trzecim razem Róża już innej nie puściła. Uparła się, bo przecie baby jeszcze spały, jak ona była już w kościele, a teraz ma być ostatnia? Cóż ta jeszcze, hy? Wnet by jej się wypowiedać nie dały.

Uklęka se przy słuchalnicy. Zaczęły ją brać dygotki. Gadała do księdza, a przez głowę jej przelatywało, co tu będzie z rozgrzeszeniem? Cosik ją kusilo, żeby księdzu wszystkiego nie pedzić, a sumie-

nie pedzić księdzu wszystkiego, a sumie nie szeptało, żeby nie zakrywać grzechów, bo to przecie święta spowiedź.

Nie dała się skusić, ale też nie usłuchała se wszystkim sumienia, bo się bała o rozgrzeszenie. Już ci nie scygoniła nic, broń Boże, ino, że trochę grzechów zegnała na parobków, a najwięcej na Bartka Beczkowego.

Ksiądz wystuchał wszystkiego, zaczął jej przyganiać i tłumaczyć, jak ma żyć po Bożemu. Ogarnęły je gorącości, kieby kto podpalał pod nią. A ksiądz gadał. Nogi jej pocierpły od klęczenia, a on jeszcze nie przestał. Udała, że se chustkę poprawia i obejrzała się na ludzi, czy się patrzy i przysłuchują jak ksiądz swarzy na nią.

Wreszcie — — — o Jezu miłosierny... dostała rozgrzeszenie. Ucieszyła się w duszy, pocałowała księdza w rękę, odeszła przed ołtarz, uklęka se i odmawiała różaniec. Modliła się gorąco przez całą mszę i przyjęła Komunię świętą.

Po nabożeństwie leciała prędko do chałupy, bo ją strasznie ciekawiło, co tam z Franką słychać? A tak jej było lekkuśko na sumieniu i na duszy, jak nigdy w życiu. Widziało jej się, żeby wnet fruka do chałupy. Po drodze zetkała się z jednym chłopakiem, co przodzi chodził do Zośki, a teraz się gniewał z nią i obczerniał ją przed ludziami. W pierwszej chwili zebrała ją złość na niego i obróciła się w inszą stronę. Miała się nic nie odezwać do niego, ale se przebaczyła, że idzie ze świętej spowiedzi i wyrzekła do niego Boskie słowa. On odpędził jej jak się należy.

Nie uszła nawet i pacierza, a była już w chałupie. Ucieszyła się bardzo, bo Franka siedziała se na łóżku i pochlipowała herbatę. Pogadały se obie, ale chwileczkę ino, bo dzioucha była słaba, a matce spieszyło się do roboty. Wszystko przecie czekało na nią, ale się nie swarzyła z chłopem ani z córkami, ino sama robiła.

Była ucieszona czegoś i wesoła jak zawdy, ino, że jej język trochę skrótł. Już ci pewnie od strachu przed Franczyną śmiercią i przed piekłem, a do reszty po spowiedzi.

Na drugi dzień wygnała obie córki do spowiedzi. Sama też poszła z nimi na mszę świętą i do Komunii.

Bartek Beczków cieszył się bardzo z choroby Franki i żartował, że o ciut-ciut byłby już wdowcem. Pyskował na nią zawdy różne brzydkie rzeczy, ale ani Franka ani matka nic se z tego nie robiły, bo przecie i tak ludzie o wszystkim wiedzieli. A może dlatego nic nie wygadawały na niego, bo se pewnie myślały, że się jeszcze przeprosi i ożeni z Franką. Ale daremnie się cieszyły, bo choć Franka wyzdrowiała za jakiś czas, Bartek i tak nie przyszedł do niej, ino dalej pyskował o niej jak przodzi.

Do Zośki i Julki też chłopaki nie śmieli tak zaraz łązić, no tym wypadku, zaś one były strapione, no i po spowiedzi, to im przecie nijako było zalecać się z parobkami.

Ale niedługo tak trwało. Toli za któryś tydzień przyszło coś ze trzech chłopaków przed Kubową chałupę i zagwizdali. Dziouchy wyszły do nich i dała się zalecać. Różę to ześliło, aż ją chciało zerwać. — Dopiero jeden sprowadził tu nieszczęście, — mruka se i wyszła za córkami. — Do spania, dziouchy, dziouchy, — pedziła ostro.

One zaczęły się opierać, a chłopczyśka śmiać i drwić. To ją strasznie gniewało. Wychlastała córkom po pyskach, wypędziła je do spania, a tych zalecaców zeswarzyła. — Porządne chłopaki to nie łążą nocami kałę czyich chałup jak wy, — ucięła ich. — Jak se chcecie posiedzieć, to przyjdźcie do izby, a nie ślajajcie się po obrorze jak jakie psiska.

Parobczyśka pomruczeli se pod nosami, poszczekali i poszli. Zośka z Julką zaczęły płakać i swarzyły się z matką, że im narobiła wstydu, przy chłopakach. Róża dość im się już zawdy natłumaczyła, to też nie psuła se do nich piersi, ino porwała miotły i wysmarowała je po plecach.

Smarowanie dziouch miotłą powtarzało się co wieczór, bo one nijak nie mogły się odzwycząć od wysiadowania z chłopczyśkami. Ale nic nie poradziły z matką, bo kiedy ino je dźbiał kusil, dostawały smary po grzbiecie. Po trochu odniechciało im się zalecanie poza chałupę wieczorami, a i chłopaki też się odnęciłi tam łązić. Który był porządniejszy, to przyszedł czasem, wlaź do izby i posiedzia se, ale wisusy przestali wylegiwać z dziouchami pod agrestem. Kuba był rad z tego i powtarzał: — Moja Róża to morowa baba i zdalna do wszystkiego: i do Boga i do ludzi i do roboty i do gadania i do rządzenia... A choć ta raz zrobi dobrze, a drugi źle, ale jak się przekona, że źle zrobiła, to żałuje się i choćby miała pęknać — stara się nazad zło naprawić. Morowa baba i już.

Niby Kuba miał rację, ale niezupelnie, bo paniństwa córkom Róża nie poradziła już przewrócić. Ale choć za to Bogu dziękować, że je nawróciła ze złej drogi, na jaką je wepchła przez swoją nieświadomość.

Wacław Mrozowski

Solice

Młodością pachnie tu.
Dom każdy otulony zawojem zieleni,
każdy ma kwiat w butonierce —
— pachnące miasteczko bżów!
w którym ubiegłej jesieni
zabiło mocniej serce.

Kościółek w ciemność się wbił,
słucha szmerów tajemnych i zmowy,
którą wiatr z parku sypie w upalną noc dokoła —
srebro krzyża w poświęcie łśni,
na ramionach majaczy cień sowy —
gdzieś puszczyk złowieszco woła.

Dom Zdrojowy światłami łśni.
Bór odległy aż tu pachnie złotem,
gdzie się obłok puszysty przyczaił.
Pomruk idzie od gór.
To grzmi.
Jest maj,
więc się grzmot błyskawicą umail.

Nocą dudnienie gwiazd.
Z księżycem harce po dachach czerwonych,
orkiestr słowiczych żar muzyczny —
Gdzie, w którym z miast
Wielki Wóz zaprzężony w niedźwiedzie
tak skrzy się
i tak jest śliczny?

Gdy się zbliża ukradkiem świt,
dzwonek słonecznych kantylena
brzmii z cicha,
stuletnie buki szumią i
tramwaj z Solic wyciąga dłoń do Wałbrzycha.

artykuły wiary, nazywany ongiś przez Staffa „wielkim zapładniaczem“, stracił busołą, nie pilotował nowych prądów, stał się po trosze niewspółczesnym.

W dziejach myśli polskiej nie przeminie jego zasługa jako przyjąciela i dorywczego komentatora Brzozowskiego. Sam zresztą Brzozowski wypowiedział się o nim jak najserdeczniej i pełen atencji w swoim „Pamiętniku“. Tragedia autora „Legendy młodej Polski“ niepokoiła go przez długie lata, wracał do tego tematu przy każdej nadarzającej się sposobności i rozwiązanie tej zagadki było jednym z trudów, który go pożerał. Nie zastanawiał się nad niewinnością czy winą, roztrząsał sam rdzeń zagadnienia, jak mogło dojść do próby unicestwienia myśli filozoficznej człowieka przez jego przeciwników, godzących w jego cześć osobistą, a niszczących równocześnie tak słabo rozwiniętą u nas sadzonkę własnej teorii poznawczej, własnego poglądu na świat i kulturę ludzką i narodową. Ceniąc wysoko sztukę niezawisłego myślenia, nie mógł pogodzić się z faktem, że z przemijającym zdarzeniem błędzenia człowieka związane dla niskich celów jego wypracowaną w ciężkim mozołe próbę stworzenia polskiej epistemologii.

Towarzysz lwowskich symposjonów z Kasprowiczem i Staffem u Schneidra i z George'u, starzejący się kompan biesiadł młodopolskich, lubił młodych i pełny był pobbazania dla ich eskapad i nowatorstw. Beształ w dyskusjach i naprostowywał ich drogi, ale poprzez szklą ciepły błysk oczu rozgrzeszał ich ze wszystkich grzechów dzieciństwa, czyniąc z nich zadatki przyszłych doskonałości. Po przeczytaniu powieści „Zazdrość i medycyna“ Choromańskiego, napisał z niej recenzję pełną u-

znania, a o innych początkujących pisarzach wyrażał się z dużym zrozumieniem i prawdziwym ciepłem. Bywało, mylił się w swoich przeprowadzeniach, którzy bowiem krytyk literacki, zabawiając się w wyrocznie, w stu procentach przewidzieć potrafi dalsze koleje fenomenu pisarskiego, wróżąc jak wieszcz z jego wnętrzości. Jak większość charakterów arbitralnych niechętnie przyznawał się do swoich wróżbiarskich pomyłek, z obawy, aby nie lekceważono jego sądów, a także w przekonaniu, że wróżba, mimo dotychczasowe niepowodzenia, przecie się spełni. W ten sposób pozostawiał młodym autorom drogę otwartą do rehabilitacji, mieli możność dorośnięcia, dorastania do wykresów krytyka w przyszłość, na wzrost.

Pozostał jeszcze prezes Związku Zawodowego Literatów. Któż z nas nie pamięta jak się dwoił i troił w uczynności, gdy do Lwowa w pamiętnych dniach wrzesniowych 1939 r. przybyli z różnych stron pisarze a mały pokójki związku pomieścić nie mógł tej ciżby. Tam na podwórzu przy ulicy Ossolińskich, w pokoiku na pierwszym piętrze, przy biurku zawalonym piśmie urzędował astmatyczny prezes w wytartym surducie, wspierając bracie tułaczą radą i dukiem ze skromnych zasobów lwowskiego oddziału. Potrzebujących było multum. Lwowski związek w przeciagu niewielu dni wezbrał jak górski potok, ledwie pomieścić mógł w swych szczyplonych ramach „ciągnące zórawie“. — Karmazyny, obok szaraczków pióra, nachodziły prezesa, rojno było w pokoiku, jak nigdy przedtem, prezes jak dobry samarytanin nikomu nie odmawiał pomocy. Potem fala spłynęła, zrobiło się cicho, widywano starego pana w podszytym wia-

trem paletku z nastawionym kołnierzem w kolejce za cukrem czy innym artykułem żywnościowym, wracającego do opuszczonego domu eremity przy ulicy Okólskiego, lub goniącego pod wieczór do znajomych na audycję radiową.

Przyszły dni, kiedy z niezwykłą dezynwolturą, z zewnętrzną na śmierć nagłą a spodziewaną obojętnością, nie zważając na rozporządzenia niemieckiego okupanta i na straszne „czarne noce“, zawarte w trójjęzykowych ogłoszeniach, zachowując osobistą godność wolnego człowieka, (co za okrutne złudzenie), patrzył na zdegenerowanie najprymitywniejszych reguł etycznych jak dawniej na sceny kiepskiego spektaklu, i czekał rozwiązania. Człł i przeczuwał, że w tej sztuce pisane jest jemu być personą dramatu, której wśród setek tysięcy ofiar przyjdzie wychylić do dna kielich cykuty. Człł łopot skrzydeł pomoru nad sobą. Wszedł na spotkanie z przeznaczeniem, codziennie szedł na nie, używając przechadzki. Gardził wrogiem ludzkiej godności i wystawiał się. Wiedzia, że nie ujdzie. Nie wiem, czy jest ktoś, kto go widywał w tych ostatnich dniach, ciągnących się tygodniami męczącego wyczekiwania, czy pomógł mu ktoś unieść krzyż, gdy zaciążył mu ponad siły, czy kto słyszał ostatnie bicie jego serca prócz zbirów. Zginął latem 1942 r., jak setki tysięcy, bezimiennie. Nikt nie pokropił jego zwłok rzewną Izą współczucia, nikt nie pozdrowił go choćby z daleka, nie pomyślał o nim, jednym, z najwierniejszych paladynów sztuki przez wielkie S, ginącym jako żołnierz nieznanym bez salutów, bez pochylenia sztandaru, bez salwy honorowej, okrutną śmiercią niewinnej ofiary amoku szalonego zbrodniarza.

Kronika słowiańska

Literatura jugosłowiańska w walce

Wiele się u nas pisze w ostatnich czasach o życiu literackim zagranicą. Wiemy, jaki udział brali w ruchu oporu pisarze Francji, jakie straty poniosły poszczególne literatury itd. Mało natomiast wiemy, jak się kształtowała literatura u naszych pobratymczych narodów. Mamy na myśli narody Jugosławii: Serbów, Chorwatów i Słowenów. A przecież tam w walce o byt narodowy literatura walczyła nie mniej zacięcie niż gdzie indziej. Literatura jugosłowiańska pierwsza ratowała honor narodowy i pierwsza protestowała przeciw haniebnemu paktowi niemiecko-jugosłowiańskiemu. A kiedy połączone siły hitlerowsko-faszystowskie zalały kraj, pisarze jugosłowiańscy znaleźli się w pierwszej linii frontu a wielu z nich organizowało oddziały Frontu Wolnościowego. Praca była nad wyraz ciężka i trudna. Wyrafinowana propaganda spod znaku Goebbelsa potrafiła wykorzystać dla swych celów stary antagonizm narodowościowy, wygrywając jednych przeciwko drugim. Ale garść pisarzy dokonywała cudów wobec zgrai pacholców propagandy nazistowskiej, która miała do swej dyspozycji wszystkie środki nowoczesnej propagandy.

W Słowenii, którą natychmiast rozdzielono między Niemcy, Włochy i Węgry i gdzie znanymi nam metodami chciano zupełnie zniszczyć narodowość, już w pierwszych tygodniach wypowiedziano okupantowi walkę na śmierć i życie. Udział w niej wzięli przede wszystkim pisarze i publicyści, prześladowani jeszcze za czasów poprzedniego reżimu belgradzkiego. Wśród nich był Boris Kidrič, syn znanego historyka i profesora lublańskiego uniwersytetu, Edward Kardelj, czołowy publicysta młodej generacji, wielokrotnie więziony, dalej Edward Koček, wybitny poeta, który wyszedł z kół katolickiej młodzieży, Ferdo Kozak pisarz i redaktor naczelny pisma „Sodobnost“. Należał tu również najwybitniejszy z pisarzy współczesnych Francje Bevk. Pierwszymi, którzy poszli w lasy słoweńskich Alp, by stamtąd zacząć nieubłaganą walkę z wraźmi okupantami, byli słoweńscy poeci proletariatu Mile Klopčić, Anton Selisžkar, Miran Jarc. Spora gromada pisarzy pozostała na miejscu, aby w ścisłym porozumieniu z O. F. (Front Wolnościowy) organizować walkę i wszelkimi sposobami pomagać walczącemu oddziałom. Ci przeważnie nie drukowali swoich własnych utworów, ale potrafili świetnie organizować literackie sabotaże, torpedując niejedną akcję kulturalno-wydawniczą, ciesząc się poparciem okupantów. Ale wróg czyhał, śledził i porywał coraz to nowe ofiary. Wielu rozstrzelano, wśród nich Vinko Konačka, Fran Mesesnela, Vito Krajghera i in. W koncentracyjnym obozie zamknięto Duszana Kermavnera, Fran Albrehta, Prežihov Voranca, Ivo Grahora, Anice Černejeva.

Po lasach, w górach, w obliczu siwego i zadumanego Tryglawa, już w pierwszych miesiącach, zaczęła się rozwijać literatura partyzancka. Wśród nadludzkich wysiłków i dużych ofiar jednostek, głęboko, w zapadłych ostępach leśnych, wśród skalnych pustaci założono drukarnię. Wychodziły gazety, broszury, książki, ulotki a nawet bibliofilskie wydania poetów słoweńskich. Nieraz wprost na froncie, niekiedy poza frontem tuż ukazywały się tysiącami egzemplarzy dzienniki, które miały doskonale zorganizowaną służbę informacyjną o sytuacji aliantów, o położeniu nieprzyjaciela i o stosunkach wewnątrz kraju panujących. Co więcej, tam wysoko w górach odbywały się kursa i egzaminowano młodzież, która w przerwach bojowych dokształcała się, aby jednocześnie z rzemięstwem wojennym nie zaniedbywać kształcenia umysłu. Każdy partyzant nosił z sobą broń i książkę.

W ramach umowy kulturalnej polsko-jugosłowiańskiej należało by u nas koniecznie urządzić wystawę jugosłowiańskiej prasy partyzanckiej i vice versa naszej prasy podziemnej w Jugosławii. Będzie to najpewniejsza propaganda a zarazem mocne ogniwo w węzłach przyjaźni łączącej nasze narody. Tymczasem zainteresowanych odsyłamy do książek, które szczegółowo traktują o tym przedmiocie. Są to książki Vladimira Didijera

„Partizancke štamparije“ i Ceneta Kranjca „Slovenska partizancka štampa“.

Na innych ziemiach Jugosławii panowały odmienne nieco stosunki, bo tam okupant stworzył „niepodległe“ państwa chorwackie i serbskie. Niektórzy pisarze, służący już poprzednio starym reżimowi,

nie wzięli udziału w walkach wolnościowych, były też wypadki, że wprost przeszli na żołąd niemieckiego czy włoskiego okupanta liżąc im stopy. Liczba ich stosunkowo niewielka. Większość poszła na pierwszy zew. Wśród nich, największy z poetów chorwackich, sędziwy, bo z górą

Vladimir Nazor

Słowiańskie suplikacje

Ty boże przodków moich,
o zejdz, o zstap Tryglawie,
ze szczytu dawnej sławy,
zejdz jako ongi w slawie.

Mieliśmy w tobie tarczę,
braleś swój lud w obronę,
słowiańskie stałeś woje
na cztery świata strony.

Paliły się wiatry po wierchach,
szumiała zemsta w dębach,
biegły ogniste wici,
w krwawych, smolistych kłębach.

My ciebie teraz wzywamy
z padoleń nędzy, cierpienia,
ogniem, co w sercach kryjemy
i w pożar się buntu zmienia.

Patrz, depczą chlebne niwy,
płoną nasze zagrody,
błądzą sieroce dzieci,
zatruli w studniach wodę.

Za długie są nasze męki,
długośmy głód ich sycili,
krew naszą zliopią kaci
by tętno słabe zasilic.

Nie stoczą ostatniej kropli,
oporu nie złamiesz braci,
choć wraże wpijasz nam szpony,
Perunie w nowej postaci.

Zjaw się obrońco Tryglawie!
Zejdz z błyskawicą i gromem
i rozpędź moce zdradliwe.
co władną naszym domem.

Duszę hartuje cierpienie
i serce mężnieje w grozie,
a kości nasze stwardniały
w bitwie i w ogniu i w mrozie.

Lemnież przekuliśmy w miecze
i myśmy zatrute strzały.
Twa ręka nami niech siecze
zastępy wraże, struchlałe.

O zejdz, o stap Tryglawie,
ze szczytu naszej kłęski,
zejdz jako ongi w slawie
i świat nam daj zwycięski.

Z chorwackiego przełożył

Antoni Brosz

Książka Ziemi Odzyskanych

Polacy na ziemi lubuskiej i na Łużycach przed rokiem 1939. Tajny memoriał niemiecki. Opracował dr. K. Kolańczyk i dr. Wł. Rusiński. Wyd. Instytutu Zachodniego. Poznań 1946, str. 96.

Lektura tej książki przynosi nieklamana satysfakcję. Satysfakcja ta wynika z dwóch źródeł, a mianowicie: z faktu oficjalnego stwierdzenia przez Niemców naszej siły narodowej i kulturalnej, objawiającej się przed obecną wojną w byłej regencji frankfurckiej, następnie stąd, że ziemia ta, na których się tak bujnie polskość owa krzewiła — wróciła dziś na zawsze w ramy państwowości polskiej, od wieków przecież im przyrodzonej.

Gdy dużo stosunkowo już wiemy o zwycięskiej i upartej walce Opolszczyzny, która trwała w mowie i wierze ojców pomimo najstraszliwszego terroru niemieckiego — to przecież bardzo mało orientujemy się w sytuacji Polaków żyjących na innych terenach ziem odczypanych, ziem, które niestety traktat wersalski pozostawił w granicach Rzeszy Niemieckiej. A co wiedział przeciętny obywatel polski przed obecną wojną o swych wierznych braciach, włączonych w różne pograniczne regencje niemieckie? Wiedza i orientacja nasza, przyznajmy to ze wstydem, o tych problemach stała na bardzo niskim poziomie. Dopiero dziś, kiedy przyszedł na Ziemię Odzyskaną poczynamy ze zdumieniem spostrzegać (często niestety zbyt późno) żywą polskość miejscowej ludności. Ale wielu ciałem jeszcze mimo to wypowiada o tej ludności autochtonicznej sporo krzywdzących sądów, stawiając szereg tej ujawniającej się polszczyzny pod znakiem zapytania. I oto od czasu do czasu przychodzą nam w sukurs... sami Niemcy. Na szczęście Niemcy układali kiedyś jakiegoś memoriał do policji, do władz centralnych, szczegółowo analizując, w miarę obiektywnie, stan polskości w terenie. Na szczęście? Raczej na... nie dające się opisać niesześćsetce setek najlepszych naszych działaczy narodowych, których memoriały takie z reguły wtrącały do obozów koncentracyjnych i więzień. Ale z drugiej strony — dziś te dokumenty, opracowane skrupulatnie przez wroga, dają świadectwo tym cichym bohaterom sprawy narodowej, o których prawdopodobnie byśmy się nigdy nie dowiedzieli.

Dokument niniejszy, będący przedmiotem naukowego opracowania Instytutu Zachodniego, znaleziony został w lipcu 1945 roku w archiwum policji niemieckiej w Babilonie. Jest to memoriał władz regencji frankfurckiej (dzisiejsza nasza Ziemia Lubuska), napisany w roku 1938 na życzenie Berlina. Wydano go na powielaczu z czerwono podkreślonym słowem „vertraulich“. Był to czas, kiedy przygotowania do wojny były już bardzo wszechstronne: zarówno militarne jak i polityczne. W ramach tych ostatnich nasunęła się między innymi konieczność zebrania rzetelnych danych o do liczebności i postawy psychicznej ludności polskiej na terenach pogranicza. I takie też dane zebrano. A trzeba przyznać, nie były to dane ani przyjemne ani pocieszające dla Niemców. Więc przede wszystkim wbrew wszelkim urzędowym i społecznym naciskom wielkiego policyjnego państwa niemieckiego niemiecki sprawozdawca musiał alarmować Berlin zastanawiającym procesem silnego polonizowania się wsi i miast frankfurckich. Pisze m. in. tak: „Wspólną cechą zarówno Polaków, obywateli polskich, jak i należących do mniejszości polskiej

jest dążenie na zachód, do Odry, o której nawet w szkole uczyli się, że jest polską rzeką (...ist der Zug nach dem Westen nach der Oder, von der sie ja in der Schule gelernt haben, dass es ein polnischer Fluss sei)“. Przytacza następnie fakty niebezpiecznego odnawiania się takich np. wsi jak Nowe Kramsko, Wojnowo, Podmokle Wielkie i Małe, w których niemieccy osadnicy „wurden in der Beihilfe der Katholischen, sowohl in ihren Geschlechtsnamen, als auch in der Umgangssprache polonisiert“. Bowiem „na tych obszarach nazwisko nie mówi w ogóle nie o postawie i przynależności narodowej. Tak więc w Kramsku Nowym, Podmoklu Wielkim i Małym oraz w Dąbrowce Wielkiej zatwardziali Polacy, a nawet przywódcy polscy noszą nazwiska niemieckie, np. Weiss, Weimann, Winter, Sommer, Ludwig, Obst, Reimann itd. Są to wyniki przytoczonej wyżej polonizacji osadników niemieckich.“

Autor tajnego memoriału niemieckiego szczegółowo analizuje sytuację polityczno-narodową szeregu miejscowości w swojej regencji. Oczywiście omówienie to ma charakter policyjno-dennuncjatorski. Przyjrzyjmy się dla przykładu wsi Nowe Kramsko (Kleistdorf lub Neu-Kramzick). Na ogólną liczbę ludności: 1254 osoby, autor stwierdza tylko: 120 Niemców. Na terenie wsi istnieje Związek Polaków w Niemczech, którego kierownikiem jest Jan Cichy, ur. 21. 10. 1878 r. w tejże wsi; związek liczy 110 członków, posiadających przynależność państwową niemiecką, wyznanie rzym.-katolickie. Prócz tego istnieje tu Polski Związek Szkolny, prowadzony przez Stanisława Obstę, ur. 13. 4. 1877, członków 90, o przynależności państw. niemieckiej; działa także Polsko-Katolicki Związek Młodzieży, kierowany przez syna Cichego (kierownika Zw. Pol. w Niemczech) Jana, urodzonego 5. 4. 1915, członków 40. Związek Młodych Polek prowadzi w Kramsku Nowym niejaka Odważna Pelagia, córka miejscowego rolnika, urodzona 10. 12. 1912 r.; Związek Polek prowadzi Agnieszka Wachowiak z d. Cicha, żona robotnika ur. 31. 12. 1881 r. Miejskowemu harcerstwu przewodzi Bogdan Kowalski, nauczyciel, ur. 9. 9. 1912 w Berlinie. Memoriał niemiecki podaje dalej informacje o miejscowym polskim klubie sportowym, o związku przygotowawczym na polski kurs rolniczy, o polsko-katolickim związku rolników, o związku robotników polskich, o miejscowym polskim Banku Ludowym, o polsko-katolickim związku księcielnym. Przy każdej pozycji znajdują się dokładne dane personalne kierowników. Miejsce abonentów tylko 6 gazet niemieckich na 177 polskich, z których największą poczytnością cieszy się sprawozdany z Poznania przez granicę „Przewodnik Katolicki“. Dla pełności obrazu niemiecki autor przytacza jeszcze dane o bibliotece (charakteryzuje typ powieści polskich), o polskiej ochronie, wreszcie bardzo szczegółowe informacje o szkole i nauczycielstwie, obdarzając wymienianych nauczycieli polskich takimi epitetami jak „zäher und verbissener Kämpfer, befähigter Agitator“ itp.

Omówienia sytuacji narodowościowej w poszczególnych miejscowościach nie wyczerpują treści memoriału, który stara się przecież dojść do pewnych wyników ogólniejszych. I tak ustala, zresztą dosyć trafnie, metody polskiej walki narodowej. Streszcza je w następujących punktach: 1. wytrwanie w wierze ojców, 2. używanie języka polskiego w modlitwie

70 lat liczący, Vladimir Nazor, udał się w lasy w dzień, w którym poglawnik „państwa chorwackiego“ nadał mu godność przewodniczącego Chorw. Akademii Umiejętności. Dziś po trudach walk piastuje godność prezesa sejmu chorwackiego. Swoje wizje poetyckie, z okresu walk partyzanckich zamknął w tomie „Pjesme partizanke“. O wolność nowej, demokratycznej Jugosławii walczył również obecny prezes pisarzy chorwackich Luka Perković, Ivo Froll, Novak Simić, Ilija Jakovlević, Mato Lovrak i wielu innych. Wierny swoim zasadom był i pozostał jeden z najwybitniejszych „enfant terrible“ chorwackiej literatury Miroslav Krleža. Natomiast już w pierwszych miesiącach rozstrzelano wybitnego pisarza Augusta Cezarca. Zameczeni zostali lub padli w walkach Boža Adžija, Mihovil Pavlek-Misžkina (ciekawa to postać, chłop pisarz, którego powieści i opowiadania stanowią ulubioną lekturę chorwackiej wsi). Jako partyzant zginął Ivan Goran-Kovaczić, dobry stylistą, autor ciekawych opowiadań z życia wsi i poeta rokujący wielkie nadzieje. Jego utwory pisane w czasie wojny, stanowią wstrząsający dokument okropności ostatnich walk. Padli również, z pośród młodych, Hasan Kikić, Milan Durman i Grgur Karlovčanin.

W Serbii stosunki były najbardziej powikłane i wielu pisarzy skompromitowało się wśród nich tacy jak: Sima Pandurović, Svetislav Stefanović, Dragisza Vasić i Nikola Trajković. Lwia jednak część, głównie młodych, poszła na pierwsze hasło, przetrwała burzę i doszła do wytkniętego celu. Są to bojownicy nowego życia, nowych idei, którym przypadło w udziale ciężkie zadanie ale i najradośniejsze: budowa nowej kultury i odrodzenie narodu. Rok pracy w wolnej i zjednoczonej, ludowej Jugosławii pokazał, że trud ich owocny. Nową literaturę serbską utrzymuje jednak nadal wielkość takich pisarzy, jak Ivo Andrić, Veljko Petrović, Božidar Kovačević, Jovan Popović. Pojawiają się też nowe talenty, które w walce rozwinęły swoją inwencję twórczą a wśród nich przede wszystkim Branko Ćopić i Radovan Zogović, których utwory czekają i na polski przekład. Dlatego wznowienie Biblioteki Jugosłowiańskiej, w jak najszybszym czasie, powinno być jednym z pierwszych zadań w ramach umowy pol.-jug., zawartej niedawno w Warszawie Anbr.

i życiu rodzinnym, 3. pielęgnowanie polskiej kultury i obyczajów, 4. zjednoczenie Polaków i umacnianie ich w wierze w przyszłość polskiego narodu i państwa, 5. otoczenie czcią kobiety i matki (...„Ehrung der polnischen Frau und Mutter“).

Memoriał ten jest ciekawy z jeszcze jednego względu: mianowicie stwierdza urzędowo masową ucieczkę Niemców — rolników i rzemieślników na zachód. Bijąc na alarm, woła m. in. „die im Innen des Reiches herrschende Hochkonjunktur hat die Abwanderung wertvollster deutscher Kräfte zur Folge“.

To zjawisko opuszczenia przez Niemców wschodnich terenów swego państwa, terenów podmywanych zwolna przez polską falę musiało stanowić dla III Rzeszy groźne niebezpieczeństwo. Czy tak jednak dalece obawiał się tego Hitler, że — jak chcą autorzy wstępu — m. in. dlatego podjął swoją „szaleńczą decyzję, ażeby jednym brutalnym uderzeniem, zerwać nieznosne sztuczne kordony“, pragać dać ujście „naturalnemu biegowi rzeczy i zalać opuszczone kraj po Odrę i dalej — milionami głodnych ziem Polaków, lecz już nie wulnych — tylko niewolników? Przypuszczenie takie jest nieco pohańpne i przesadzone.

Instytut Zachodni dobrze zasłużył się wydaniem tego memoriału, zwłaszcza w chwili rozwiązywania przez nas „zawilgłych i trudnych“ dla niektórych nieświadomych urzędników polskich — problemów narodowościowych wroczonych Ojczyźnie Ziemi Odzyskanych. Szkoda tylko, że wydawcy nie zaopatrzyli dokumentu mapką. Poważny to brak, który jednak będzie można naprawić w drugim wydaniu. Bowiem sądzimy, że memoriał ten winien być polecany w świetlicach i szkołach, w urzędach i związkach. A także go winni czytać repatrianci i osadnicy na polskim Zachodzie. Grażyna Janicka.

Antologia wierszy obozowych

Przeżyłcia, związane z niemieckimi obozami koncentracyjnymi są już trwałym wkładem tematycznym polskiej literatury. W obozach i poza obozami powstało wiele wierszy obrazujących ten okres cierpienia, walki i śmierci. Pragnąc opracować antologię wierszy pisanych w obozach koncentracyjnych lub o nich, zwracam się do wszystkich literatów, redaktorów, wydawców i osób prywatnych, posiadających wymienione wiersze w rękopisie lub ogłoszone już drukami o przesłanie ich na adres: „Odrodzenie“, Kraków, Basztaowa 15, „Antologia wierszy obozowych“, Tadeusz Holuj, Maksymilian Borwicz.

Sprostowanie

W dziesiątej strofie fragmentu poematu Aleksandra Rymkiewicza, zamieszczonego w poprzednim numerze „Odry“ zaszła pomyłka, którą prostujemy.

Po słowach:
„...Dziś honory im oddaj, bo nie twoje wyroki są
pią u nas dywizje i pociski armatnie“
powinno być:
„A ty wtedy szalony odkrzyknął, że teraz w
żadne nieba nie wierzysz, tylko w naród i piekło.
Kiedy hełm odrzucałeś, ja do chaty uciekłem, już
na progę słyszałem głuchy wystrzał z mauzera“.

Sprawy teatru

Amfiteatr na Górze św. Anny a odrodzenie
naszego teatru

Niedawne uroczystości na Górze św. Anny z powodu 25-lecia III Powstania Śląskiego zwróciły oczy całej Polski na ten wyjątkowo piękny zakątek naszego kraju. Góra św. Anny ma znaczenie niemal mistyczne w dziejach Śląska. Przez długie wieki urastała ona do symbolu wiary w Polskę i jej żywot niezniszczalny. Tu schodzą się liczne „pącie“ (pielgrzymki), tu poświęca się sztandary polskich towarzystw śpiewaczych i sztandary bractw, stąd wyruszają pielgrzymki od Częstochowy i Krakowa. W końcu ub. wieku poeta śląski Norbert Bończyk napisał epicki poemat rytmem Mickiewiczowskim pt. „Góra Chełmska“ (tak nazywano Górę św. Anny).

W maju r. 1921, kiedy wybuchło III-cie Powstanie Śląskie, o nią toczyły się najzawziętsze boje. Ten magiczny urok Góry św. Anny dla Ślązaków zrozumieć Niemcy i postanowili go przytłoczyć, zdusić i zohydzić, wznosząc na Górę św. Anny mauzoleum dla wojowników niemieckich, poległych w obronie tej rzekomo germańskiej ziemi. A ponieważ nie starczyło im trupów niemieckich, więc właściciwą sobie metodą rozkopywali mogiły na sąsiednich polskich cmentarzach i Bogu ducha winnych nieobszczyków przynosili do mauzoleum.

Ale jeszcze i wówczas, choć odbywają się tu hałaśliwe pochody niemieckie, choć rozdaje się tu żelazne krzyże i oficerskie epolety przywódcom młodzieży hitlerowskiej, przychodzą zawsze do klasztoru na stoku góry polskie pielgrzymki, odbywa się zlot młodzieży polskiej ze Śląska O-polskiego, tutaj na podniesieniu amfiteatru polskie dziewczęta wygaszają Redutę Orzona i fragmenty epepe Bończyka.

Otóż o tym amfiteatrze chcę parę słów powiedzieć. Wykuli go Niemcy w kamieniołomach na zboczu Góry św. Anny. Chcieli zeń uczynić ostoję ducha germańskiego i trybunę niemieckiego słowa. Aliści, ilekroć chciano dokonać uroczystego otwarcia teatru w obecności Hitlera, tyle razy zrywała się szalona burza i woda zalewała amfiteatr, zmieniając go w sadzawkę i uniemożliwiając projektowaną uroczystość. Wreszcie Niemcy wielkim nakładem zainstalowali urządzenia odwadniające. Było to w przededniu ich ostatecznej klęski. Odwróciła się karta historii. Wykończyli ten amfiteatr wbrew swej woli ku czci poległych tu powstańców śląskich.

Ich wysiłki przypominają diabła z bajki Mickiewicza. Kiedy Bóg stworzył zboże, diabeł chcąc zniszczyć jego dzieło, zakopał ziarna w ziemi, napluł i przydeptał kopytem. A na wiosnę zazieleniła się bujna ruń. Tak Niemiec chciał zdeptać ducha polskości, przyczynił się tylko do jego wzmożenia i uświetnienia.

Dziś, gdy na Górze św. Anny stanie mauzoleum śląskich powstańców, gdy jesteśmy świadkami pohańbienia kłamstwa i zbrodni niemieckich, powinniśmy pomyśleć o należytych użytkownikach wspomnianego amfiteatru, który rozmiarami i wyjątkową akustyką nie ustępuje amfiteatrem antycznym.

Jest to jedyne miejsce na terenie Polski, gdzie odbywać się mogą widowiska na miarę jakiegoś Oberammergau, gdzie można wystawiać misteria religijne i narodowe, oratoria, tragedie klasyczne, widowiska historyczne i regionalne w skali nie tylko ogólnopolskiej, ale i wszechświatowej. Jedyną na razie przeszkodą jest położenie Góry św. Anny na uboczu, z dala od najbardziej uczęszczanych szlaków turystycznych, brak hoteli i pomieszczeń zarówno dla artystów, jak i dla widzów.

Ale i ten brak w niedalekiej przyszłości powinien być usunięty. Dziś, gdy stojemy w przededniu wielkiej reformy teatru, gdy mówi się ciągle o jego demokratyzacji, o potrzebie wielkiego repertuaru, amfiteatr na Górze św. Anny stwarza gotowe do niego ramy. Amfiteatr ten to wspinały instrument, który czeka tylko na genialnego mistrza i organizatora, na mistrza sceny, który w jego martwe jeszcze kamienie tchnie życie wielkiej sztuki, sztuki, wyrażającej polską ideologię,

świadczącej o odwiecznej przynależności tych ziem do Macierzy.

Znaczenie kulturalne i propagandowe takiego teatru będzie wprost nieoszacowane. Zasięg jego oddziaływania powinien objąć nie tylko Polskę, ale i cały

świat cywilizowany. Powinien ściągnąć do Polski rzesze cudzoziemskich turystów, spragnionych wielkiej sztuki, powinien stać się ośrodkiem odrodzenia kunsztu teatralnego na terenie międzynarodowym.

Stefania Podhorska-Okolów

Otwarcie »Małej Sceny« w Katowicach

MAŁA SCENA: przedstawienie inauguracyjne „JASON albo Wyspa Umarłych Wulkanów“ przegoda w trzech aktach Artura Maryl Świnarskiego. Reżyseria Edwarda Zyteckiego, dekoracje Anny Fiszerowej i Józefa Mroszczaka.

W życiu kulturalnym Katowic wypadł duży znaczeniu: w dniu 25 maja otwarty został drugi stały teatr pod nazwą „Mała Scena“. Jest to wprawdzie tylko ekspozytura Teatru im. Wyspiańskiego, ale nie zmniejsza to doniosłości tego wydarzenia. W każdym razie zmniejszać nie powinno. Dolegający końca sezon teatralny wykazał aż nadto dobitnie potrzebę drugiej sceny pod warunkiem, że będzie ona logicznym i celowym uzupełnieniem działalności tego teatru, który ją zorganizował. Przede wszystkim jeden teatr stwarzał w Katowicach okresy całkowitej posuchy, w których spragniony teatr widzący nie miał czasu blisko dwa miesiące na nową premierę a po tym okresie otrzymywał w nagrodę swoich teatrosłowców w rodzaju ostatniej i ubrajał się w ciemność na nowe tygodnie. Po drugie Teatr im. Wyspiańskiego jest a raczej powinien być w swych założeniach repertuarowym i artystycznym teatrem powszechnym, a więc zasadniczo nie kuszącym się o eksperymenty i realizującym stopniowo szeroko zakrojony program wychowawczy, program pozyskiwania teatrowi nowych widzów, obejmowania zasięgiem swej działalności jak najszerszych kręgów społecznych. Z tego wynika potrzeba sceny, która próbowałaby nowych form, nowych metod pracy i nowych — autorów. I te potrzeby — wydaje nam się — nowopowstały teatr kameralny winien uczynić kamieniem węgielnym swojego programu pracy.

Inauguracja Małej Sceny „przygodą“ A. M. Świnarskiego „Jason“ nie wskazuje jeszcze na podjęcie tej linii programowej. Bo „Jason“ jest tylko nieważną próbą odwiecznego i pozornego unowocześnienia problemu trójkąta małżeńskiego stworzonego przez kobietę, próbą nie wykazującą przy tym żadnych specjalnych zalet poza niewątpliwą znajomością techniki pisania dla sceny. Świnarski nie napisał tej sztuki z głębszej potrzeby twórczej. Temat i problem nie porwał go, nie zapalił, nie budził w nim żadnej pasji a stał się tylko przedmiotem pewnego, obmyślanego na zimno wypracowania scenicznego. Świnarski nie tworzył tej sztuki — on ją zrobił. Te roboty znał w każdej scenie, w każdym zdaniu niemal i w każdej sytuacji. Widz rewanzuje się autorowi: tak samo na zimno obserwuje sztukę i tak samo skrytycznie śledzi, jak się ta robotka udala. Jak to wszystko po prostu wyszło. Stwierdzam więc z obiektywnym zadowoleniem, że to lub to się udało, razi go natomiast podwójnie każde techniczne niedociągnięcie, których w pierwszym i drugim akcie nagromadziło się zresztą sporo. Nawet trzeci akt, najlepszy, stawiający sztukę na pewniejszych nogach, przynoszący duże napięcie nie zwala widza z nastroju obojętnej obserwacji i konstatacji. Gdy lada moment paść może na scenie przez pół przedstawienia zapowiadany strzał do kochanka — widz kombinuje: zabije go, czy nie zabije; a może jednak zastrzeli żonę; może popełni samobójstwo i dochoodzi od razu do konkluzji, że żadna z tych ewentualności nie nastąpi. Trup na scenie, huk strzału to jakoś nie harmonizuje z tą techniką sceniczną, jaką pokazuje tutaj Świnarski. Musi przyjść jakieś inne rozwiązanie. I rzeczywiście przychodzi.

Ekspozycja sztuki jest rzetelna, rożgadana, miejscami wręcz banalna i nieudolna. Przez półtora aktu konflikt zarysowuje się niewyraźnie, nie narasta, nie daje sztuce atmosfery. Widzimy, że autor robi to celowo, że świadomie opóźnia jasne postawienie go w dążeniu do stopniowania efektów, że systematycznie przygotowuje widzowi serię niespodzianek i zaskoczeń, która rozwija w całej pełni na przestrzeni trzeciego aktu, gdzie wyskakuje nagłe szereg mniej lub więcej oczekiwanych, mniej lub więcej usprawiedliwionych problemów, otrzymujących równie nagłe i nieoczekiwane rozwiązania. Widzowi robi się w końcu trochę gnupio. Przez cztery tygodnie mowocwał się tutaj ze sobą, ze swoim sumieniem wieki uczonej i wynalazca, który niszczy w końcu swoją „latającą śmiertelność“ po to, by „darować życie milionom ludzi“ a my dowiadujemy się o tym nagle w ostatniej scenie przy okazji jego zamierzonej zemsty na kochanku żony. Przechodzi wszystkie stopnie dramatycznej walki wewnętrznej obejmującej najszersze horyzonty ducha i najtajniejsze jego głąbie. A my widziliśmy tylko ukazane nam przez autora „konstruowanie dramatu“, którego ośrodkiem był kochanek żony, dramatu, który się w końcu Jasonowi w jego pojęciu nie udał, w którym przypadkiem wymknęło mu się z rąk zakończenie. Trochę to wygląda tak, jakby ktoś napisał sztukę na temat odbywających się obecnie na olbrzymią skalę eksperymentów z bombą atomową, poświęcając ją w całości przeprowadzeniu konfliktu rodzinnego jej wynalazcy.

Z czterech postaci sztuki najslabiej zarysował się namiętny Meksykajczyk, Ardengo Martinez, którego nawet podejrzewamy, że to szpiegostwo wymyślił sobie gwoli ratowania się przed niechybną śmiercią i przed

konsekwencjami szaleńczej namiętności Ruth, która kończyła się dlań razem z poruczeniem romantycznej wyspy. Postać mało żywa i nieciekawa ze swoją ugruntowaną na astrologii filozofią przeznaczenia. Nie bardzo się też czuł w tej roli p. Stefan Rydel, nie mogący się zdecydować, czy chodzi tu tylko o przelotnego kochanka o meksykańskim temperamentem, czy też i o szpiega. P. Alfred Szymański w roli Jacka Jasona operował właściwą mu techniką. Gra była mniej skłupiona wewnątrz a polegała na szczegółowym i zbyt silnym podkreśleniu zewnętrznych oznak przeżycia i stanów psychicznych. Ciekawą i dobrze postawioną postać Olivera odtworzył p. Władysław Brochwicz bez zarzutu z pełną tylko nieuzasadnioną płaźliwością w drugim akcie. Specjalną uwagę skupiała nieznaną dotychczas szerszej publiczności katowickiej p. Maria Ursynówna w roli Ruth. Utrafiła niezawodnie w zasadniczy ton tej postaci, która w znacznie większym stopniu niż Martinez wnosi do sztuki atmosfery gorącej namiętności i ogarniającego ją jak płomień żrechu. W epizodach aktu pierwszego, w jego trochę niezgrabnym w drobnych szczegółach zakończeniu i w akcie trzecim pokazała swój wypróbowany talent aktorski i utrwałała się w pamięci widzów.

Reżyseria Edwarda Zyteckiego nie budziła zastrzeżeń. W akcie pierwszym przydałoby się lepsze tempo dialogu, który przebiegał zbyt wolno, zbyt często utykał i rwał się w sposób zdradający intencje reżysera stworzenia atmosfery, której nie potrafił tam stworzyć autor. Również nie wszystkie efekty się udały (schody) a już stanowczo za dużo było ptaszcącego świergotania, które wywoływało niezamierzony efekt komiczny.

Dekoracje projektowali Anna Fiszerowa i Józef Mroszczak. Szupła scena nie pozwoliła im na pełny sukces w konstrukcji wnętrza kabiny samolotu. W akcie drugim fantastyczny wręcz i ultraogólny krajobraz Wyspy Umarłych Wulkanów, jakkolwiek w szczegółach bardzo szczęśliwie pomysłany, tłoczył się w wyraźnej kolizji z kotarami.

Na koniec kilka uwag o samej sali nowego teatru. Wybitną jej wadą jest nieodgrzone akustyczne sąsiedztwo z palarnią i bufetem oraz biurem i garderobą. Telefony, kroki, pogwarki i spory drażnią widzów i aktorów. Potele niestety skrzypią a część publiczności urzędująca sobie spacerki jak w kinie. Te usterek należałoby usunąć, bo szkoda tej sali, urządzonej sympatycznie i ze smakiem. I jeszcze jedno: ruchy kurtyny należałoby pozabawić przykrych efektów dźwiękowych. Zdzisław Hierowski.

Teatr Ziemi Opolskiej

„Madame Sans-Genie“, W. Sardou, w przekł. K. Ehrenberga. Reż. W. Scibor. Dekorator: M. Łańcucki. Znakiem komedia Sardou wprowadza na scenę wydarzenia z wielkich lat napoleońskiej historii, żyją w tej sztuce postacie, których sfalszować nie wolno, a każda z nich ma swój odrębny, plastyczny rysunek, skomponowany na podstawie analitycznych studiów autora nad epoką. Sztuka ta twarde ma wymagania. Zobowiązują do szczegółowej analizy tekstu, do analizy każdej postaci utworu, jej charakteru, wyrazu, gestu i maski, i wymaga od aktora wielkiej inteligencji i pełnego talentu.

Oczekiwania nasze były pesymistyczne. Nie bardzo wierzyliśmy w pomysły efekt tego rodzaju imprezy, w warunkach Opolskiego Teatru. Dano jednak widowski artystycznie dojrzałe — i wbrew przewidywaniom, zamiast „klapy“, czy jakiegis „namiaszki“, otrzymaliśmy spektakl o niezachwianym poziomie wartości istotnych i obowiązujących.

Ciężar sztuki spoczywa na „kwintecie“: Katarzyna, Lefebvre, Fouche, Napoleon i Minister Policji ks. de Rovigo. Trudny tu także Prolog. Zrealizowano go z rozmachem i ekspresją, a „kwintet aktorski“ zakoncertował w opolskiej „Madame Sans-Genie“ w sposób decydujący o wrażeniu ogólnym. Zagrano wzorowo, wyraziście i harmonijnie, w zgodzie z wszechświatną partyturą tekstu. Główne role kreowali: Irena Carneiro, Zdanowicz, Szmars, Scibor i Posładowski. Postać hr. Neiperga, powierzchownie postawiona przez Orłowskiego, z trudem dotrzymywała kroku współpartnerom, o dobrym jednak akcencie — w scenie końcowej. Postacie drugoplanowe, dalsze i inne — poprawne. W epizodach: kapitałny Jasmijn i Despreux, w mistrzowskim ujęciu Herby i Radwana. Okazały wreszcie dekoracje, piękne, stylowe kostiumy, bogactwo — światła i kwiaty... u stóp przemleń „pracki Katarzyny“. Słowem — przedstawienie, jakim mało.

W przypisku, wszystkich aktorów prosimy o staranniejzą dykcję i kontrolę nad akcentem logicznym, a statystki — niech nie zerkają na widownię.

W. Hlouszek.

Dotychczasowy plon miesięcznika
»Nauka i Sztuka«

„Nauka i Sztuka“ — Miesięcznik — Wydawca: zespół „Nauka i Sztuka“, redaktorzy: Julian Krzyżanowski i Stefan Kuczyński. Redakcja: Warszawa, Krak. Przedmieście 26; Uniwersytet — Wydawnictwo: Jelenia Góra, Norwida 9. Skład główny: Wrocław, Krupnicza 13.

Już pierwszy numer: z października roku 1945 zapowiadał pismo poważne, z ambicjami kulturotwórczymi, choć przynosił także prace słabsze, zwłaszcza z zakresu literatury pięknej. Rymowane wspomnienie Macieja Szukiewicza, mówiące o wrazeniu, jakie wywarła premiera „Wesela“ Wyspiańskiego na współczesnych, nie powinno się było ukazać w „Nauce i Sztuce“. Fragment powieści o Norwidzie Hanny Malewskiej interesuje jako pierwsze ujęcie losów i syl-

W — Nauka jest to system, czyli uporządkowany układ myśli, obliczony na opanowanie zjawisk świata, i pozaludzkiego i ludzkiego, a więc i zjawisk przyrody i życia ludzkiego, jednostkowego i zbiorowego.

— Z tego wynika, że nauki przyrodnicze, techniczne i humanistyczne, „wyrastające z wspólnej podstawy“ i mające „te same cele ostateczne“, uzupełniają się wzajemnie, że więc i nauk humanistycznych nie można uważać za jakiegis nauki mniej ważne. Dla tych, którym by nie wystarczył ten logiczny argument, przytacza autor artykułu jeszcze dwa inne, ważkie argumenty. Podkreśla, że w ciągu wieku bieżącego nauki przyrodnicze i humanistyczne odbiegły daleko od siebie i że, — jak okazała ostatnia wojna, — przepaść między nimi grozi zagładą ludzkości, twórczyni nauki. J. K. Dębowski wierzy, że nauka traktowana jako jedność wskaże ludziom ich miejsce w przyrodzie. Opanowawszy poznawczo siły przyrody, „w posłuszeństwie prawom działającym w życiu wszechświata, społeczeństwa i jednostki“, człowiek nie będzie już cierpiał z powodu antynomii człowieka i przyrody. A więc jeszcze jeden humanizm, szlachetny i rozumny zarzew, uwzględniający doświadczenia i potrzeby współczesnej doby. Przegląd dotychczas ogłoszonych numerów „Nauki i Sztuki“ prowadzi do wniosku, że tendencja rozważań J. K. Dębowskiego zgadza się z zasadniczą linią ideową redakcji miesięcznika.

Józef Widajewicz zastanawia się nad t. zw. „charakterem plemiennym“ pierwotnych Słowian i wśród poglądów Teofilakta Simokady i Herdera, podkreślających sielskość i niewojowniczość Słowian, i tych uczonych i sprawozdawców, którzy reprezentują pogląd przeciwny, wybiera drogę pośrednią. Ostatecznie przypisuje autor Słowianom: „zespoleenie ducha ryckiego z artystyczną żyłką“. Rozważanie kultury, obyczajowości i psychologii Słowian jest na czasie w dobie obecnej.

Adam Krzyżanowski rozważa różne przejawy i doktryny dążności pacyfistycznej. Roman Dyboski w rozprawie o Whitmanie pt.: „Wieszcz wszechzycia i wszechbraterstwa“ daje wziętą analizę rozwoju amerykańskiego poety — przyjaciela całego świata, wnika w zalety i wady jego rozległego talentu i ukazuje niekonsekwencje i zasadnicze przeciwieństwa w jego bujnej i naiwnej duszy, nigdy nie tracąc z oczu wielkości postaci poety wszelkich przejawów życia i braterstwa ludzi. Interesująca jest rozprawa W. Borowego o Staszycu jako poecie i stylistyce. Służnie podkreśla Borowy, że w prozie „Przestród dla Polski“ Staszyc, ten uczonego geologa, wielki działacz gospodarczy i oświatowy oraz pisarz polityczny, wznosi się na wyżyny tegiego literackiego języka. Nie brak mu sugestywnej wizji żywej wyobraźni, ani dynamiki uczucia. Zauważył to zresztą już Ignacy Chrzanowski w ogólnie znanej „Literaturze niepodległej Polski“.

Już więc pierwszy numer miesięcznika „Nauka i Sztuka“, pomimo jednego zwłaszcza błędu redakcyjnego, przynosił rozważania zagadnień ważnych i do brze wprowadzał w trudności, niebezpieczeństwa i nadzieje życia i kultury naszej epoki przełomowej. Zalety i zadania kulturalne czasopisma wydanego w Jeleniej Górze uwzględniły się lepiej w numerze następnym: z listopada i grudnia roku ubiegłego i w trzech pierwszych numerach z roku bieżącego. Tutaj nasi wybitni uczeni wprowadzają inteligentnego czytelnika w problemy, osiągnięcia, wątpliwości i nie rozwiązane dotychczas zagadki współczesnej wiedzy, a niektórzy z nich dzielą się wynikami swojej pracy badawczej. Niekiedy omawiają sprawy organizacyjne pracy naukowej w Polsce, zarówno w dziale redakcyjnym jak i w bardzo pożytecznym dziale: „Przeglądów“. W numerze z listopada i grudnia roku 1945 znajdują się jeszcze utwory poetyckie, raczej nieciekawe; jest także kronika literacka, słaba, i teatralna, lepsza, dobrze informująca. Od stycznia roku bieżącego dział literacki prawie zupełnie znika. O sztuce i literaturze mówią już teraz prawie wyłącznie naukowcy. Przegląd rozważają organizację pracy naukowej, nowe wydawnictwa naukowe i wypowiedzi światopoglądowe, sprawy archiwów i muzeów i narybku pracowników naukowych.

Na czolo prac numeru z listopada i grudnia (Nr. 2/3) r. 1945 wysuwają się rozważania prof. Białobrzęskiego: „Czym jest materia?“, Tatarkiewicz: „Terazniejszość i przyszłość“ i Juliana Krzyżanowskiego: „Na drodze do dzieł bajki ludowej“. Bardzo cennym przyczynkiem do dziełowej naszej kultury naukowej jest praca Bolesława Hryniewieckiego pt.: „Pierwsze pomysły Muzeum Przyrodniczego w Polsce“, Wiktor Weintraub słuszenie podnosi wartość „Biografii Polskiej“ Estreichera dla historyków kultury.

Fizyk Białobrzęski omawia współczesne poglądy na atom i materię, oparte na osiągnięciach mechaniki kwantowej, ograniczającej panującą do niedawna niepodzielnie w fizyce zasadę przyczynowości, na której osnuty był determinizm procesów przyrody. Daje wzorową rozprawę popularno-naukową, zapoznającą inteligentny ogół ze zdobyciami i trudnościami wiedzy, bez zbitego upraszczania skomplikowanych zagadnień, fałszującego prawdę naukową. Wprowadza w osiągnięcia i równocześnie także w nierozwiązane zagadki współczesnej fizyki i chemii i otwiera perspektywę na indeterminizm pewnych zjawisk przyrody: zainicjuje z współczesnym ograniczeniem zasady deterministycznej, która panowała niepodzielnie w klasycznej fizyce w klasycznym przyrodznictwie. Julian Krzyżanowski słuszenie zauważa brak dziełowej literatury ludowej przekazanej tradycją ustną w naszej nauce o literaturze i etnografii i żąda zebrania i naukowego opracowania całego zasobu naszej bajki ludowej. Autor wykonał tę żmudną, ale pożyteczną pracę w ciągu dwóch lat wojny, ale cała jej kartoteka i większość jego notatek spłonęła w czasie powstania warszawskiego. To, co się zachowało, może być podstawą do rekonstrukcji, której wyniki bardzo się przydadzą, zarówno etnografom, jak i historykom kultury i historykom twórczości literackiej. Prof. Krzyżanowski zaznajamia czytelnika z osiągnięciami i metodami pracy historyków i systematyków bajki ludowej: czeskiej, ruskiej, fińskiej i amerykańskiej i kreśli własny plan systematyki bajki polskiej, torując drogę innym badaczom.

W zeszytach ze stycznia i lutego roku 1945 analizuje filozof i teoretyk sztuki Roman Ingarden dzieło architektoniczne. Podkreśla jego podobieństwo do utworu muzycznego, a odmiennosc od wszystkich dzieł sztuki przedstawiających. Stwierdza, że jest zawsze pewnym organizowaniem mas. Przypomina, że dobór materiału jest ważny, bo różne materiały w różny sposób odbijają i załamują światło, różne wywołują wrażenie. Rozprawa prof. Ingardena jest rozwinięciem jednej części ostatniego rozdziału jego książki o dziele literackim z r. 1930. Jej rozważania są członem teorii sztuki autora. Przynoszą nowe wyniki. Również na lamach obu numerów: styczniowego i lutowego znajdujemy interesującą analizę teorii genialności Ernesta Kretschmera, przeprowadzoną przez J. E. Plomińskiego. Autor, nie umniejszając bynajmniej istotnych osiągnięć neurologa niemieckiego, nie skrywa przeciw braków jego teorii i stwierdza jej główne błędy: jej psychologizm. Plomiński nie daje swojej koncepcji: przynosi wnikiwe i zarazem krytyczne przedstawienie teorii marburskiego psychofizjologa. Do najwybitniejszych rozpraw numeru styczniowego „Nauki i Sztuki“ należy praca B. Suchodolskiego pt. „Idea mitu“. Znany historyk i teoretyk kultury ukazuje wiecną aktualność mitu, w którym wyraża się dążenie do syntezy pierwiastków irracjonalnych z racjonalnymi i określa współczesną skłonność do tworzenia mitów jako skłonność do tworzenia wizji przyszłości, w odróżnieniu do romantyzmu kultu mitologii, który wielił i mitologizował przeszłość. Historię kultury reprezentuje doskonała rozprawa Widajewicza pt.: „Dawna wieś polska w relacji kołęd i pastorałek“. Nauki ścisłe mają przedstawiciela w Hugonie Kowarżyku, który dał bardzo interesujący

(Ciąg dalszy na stronie 8)

Glossy i notatki

O POWOJENNYCH ZWYCZAJACH

Do powojennych zwyczajów należy także t. zw. denuncjowanie, przez co albo zaspakaja się własne ambię, albo chce się pozbyć kogoś niewygodnego. Już z tych względów jest to niemoralne, gorzej gdy się w dodatku zmyśla zarzuty, gdy się po prostu dla tychże samych celów — kłamie.

Jesteśmy w posiadaniu odpisu pisma, znaczącego niemylly snop światła na tego rodzaju zwyczajowość powojenna.

Pisarze śląscy zaczęli wydawać własny dodatek literacki pod redakcją komitetu, na czele którego stanął znany poeta chłopski. Ponieważ jednak był inny kandydat na to stanowisko, którego Związek Literatów nawet nie przewidział, pewna organizacja partyjna wysłała do gazety partyjnej, przy której ukazywał się wspomniany dodatek, pismo o takiej treści: „Zwrócił się do nas towarzysz partyjny (tu następuje nazwisko i imię, adres i telefon owego drugiego kandydata), z prośbą o poparcie jego kandydatury. Przewidywaliśmy na redaktora tego dodatku ob. (tu następuje nazwisko obecnego redaktora, owego poety chłopskiego), był członkiem P. S. L., a przed rokiem 1939 współpracował z grupą O. N. R. na Śląsku”.

Tyle treści pisma. Najbardziej interesujące to, że żona popieranego gorliwie przez komitę partyjną kandydata, także zresztą pisarka, jest też członkinią P. S. L., z czego robi się zarzut natury polityczno-ideowej komu innemu. Drugi zarzut, a mianowicie współpraca z O. N. R. jest ordynarną kłamliwą denuncjacją i epilog jej będzie niewątpliwie dla kłamcy przykry. Zdenuncjowanie w ten sposób jest jednym z członków chłopskiej grupy literackiej „Wieś i jej pieśń” oraz działaczem pewnej, skrajnie lewicowej organizacji chłopskiej sprzed wojny. Wiersze swoje drukował m. in. w jednym wówczas piśmie literackim na Śląsku, które później ideowo połączyło się z piśmiem obozu narodowego. Czy ten szczegół jednak wystarcza, by dla personalnej wygranej piętnować dobrego pisarza i rzetelnego Polaka, który po lewej stronie barykady budował swój wiarę i swój światopogląd? Żle to obyczajnie. Tfu i tyle. (Paw.)

CZYTAMY PRASĘ

Prasy tej przede wszystkim przybyło. Mianowicie powstało nowe piśmo „Literacko-społeczne” (takie podtytuły są w modzie), zatytułowane „Warszawa”. Pierwszy numer tego dwutygodnika przeczytaliśmy z prawdziwą satysfakcją. Bije od niego godnością stolicy. Wśród piór, które tu wystąpiły notujemy: Jana Nepomucena Millera, Marię Dąbrowską, Kazimierza Czachowskiego, Jana Szczawieja, Piechała, Milosza, Annę Kowalską. Z poziomu pisma należy wnosić, że „Warszawa” może stać się najpoważniejszym periodykiem literackim w Polsce, zwłaszcza jeśli utrzyma swój startowy charakter i jeśli dotrzyma zapowiadanych obietnic. Najścisłej reprezentowany jest dział krytyki powieściowej. Dobrze dobrane wiersze, felietony. Kapitalną pozycją pierwszego numeru „Warszawa” jest studium Marii Dąbrowskiej o Conradzie pt. „Conradowski pojęcie wierności”, będące odpowiedzią na bardzo zarozumiałe ataki Kotta na Conrada, jako na pisarza rzekomo swoistego „bohater-skiej, moralności, takiej moralności, która nas pono gubi jako naród. Maria Dąbrowska pisze m. in.: „Można twierdzić, że moralność Conrada jest pełna zasadzek i niebezpieczeństw, jak zresztą każda moralność. Ale nie można sobie ułatwiać zadania twierdzeniem, że jeden z największych moralistów wśród pisarzy głosi moralność posłusznych niewolników. Rozumowa w ten sposób, jest to samo, co mówić, że kto ma zastrzeżenia wobec dzisiejszej polskiej rzeczywistości, ten jest z reguły reakcjonista, przeciwnikiem wolności i demokracji, chociaż powszechnie wiadomo, że źródła tych zastrzeżeń są u różnych ludzi i u różnych grup całkiem różne.”

Ostatni numer „Życia Literackiego” (z dnia 20. V. hr.) wygląda zewnętrznie bardzo biednie — jakościowo przecież celuje bogactwem, głównie z powodu bardzo dobrego, dłuższego artykułu K. W. Zawodzińskiego pt. „Rzut oka na literaturę polską 1945 roku”. W tej próbie syntezy, jaką usiłuje dać znakomity krytyk poetycki, znajdujemy przede wszystkim słuszny apel o wznowienie wydawania „Rocznika Literackiego”; synteza literatury 1945 roku jest bardzo ostrożna, wielu z pewnością nie będzie się podobać. Zawodziński w chaosie i powodzi t. zw. zjawisk literackich stara się dojrzeć rzeczy trwałe, nazwiska takie, które w literaturze zostaną na pewno. I tych zdaje się widzieć nie dużo (z młodych krytyków podnosi jedynie Artura Sandaera). Wielu dziś szumiących bąków w krytyce, nie wymieniamy nazwiskami, potracą dyskretnie ale dotkliwie.

Bydgoska i ogólnopomorska „Arkona” skupiać powinna w szeregach swych współpracowników coraz więcej pisarzy i publicystów o marce ogólnopolskiej (Iwaszkiewicz, Konrad Górecki, Tadeusz Grabowski, Wojciech Bąk); miesięcznik spełnia poważnie swoje zadania kulturalne na Pomorzu.

Ikazali się świeży numer pożytecznego periodyku „Przyjaźni”, poświęconego idei zbliznienia kulturalnego Rosji i Polski. Redakcja „Przyjaźni” pozostająca w rękach autora „Kordiana i chama”, obecnego wiceministra Kultury i Sztuki Leona Kruczkowskiego, czyni starania o uczynienie z pisma książki szczerzej współpracy między oba narody, choć jak dotąd nie wychodzi niestety poza przeciętne artykuły informacyjne i sprawozdawcze. Wydaje się, że nie trudno było by pozyskać dla „Przyjaźni” szereg wybitnych piór zarówno ze świata kulturalno-naukowego Rosji jak i Polski. Organ taki jest szczególnie potrzebny, by się mogły wyrównać dotychczasowe ignorancje, powstałe w ciągu złych wieków między nami.

Od kilku numerów zamieszcza „Tygodnik Powszechny” bardzo ciekawe dokumenty papieskie z czasów okupacji, ilustrujące duży i poważny wysiłek Stolicy Apostolskiej w kierunku poprawienia sytuacji polskiej katolików w ziemach polskich i wywiezionych na roboty w głąb Niemiec. Są to dokumenty rewelacyjne. Z ogłoszonych do tej pory not dyplomatycznych watykańskiego „Sekretariatu Stanu Jego Świątobliwości”, które były wysłane do rządu Rzeszy, bije niepospolitą odwagę w nazywaniu zbrodni niemieckiej po imieniu. Malują one z zastanawiającą drobiazgowością przerażającą sytuację polskiego katolickiego społeczeństwa a zwłaszcza duchowieństwa na naszych ziemiach zachodnich, więc głównie w t. zw. „Warthe-gau”. Wśród wrógów Stolicy Świętej w Polsce konsternacyjnie milczenie.

KRÓTKIE ŚPIĘCIA

Niepokojący jest, już nie sam wzrost przestępczości, bo po każdej wojnie jest to samo, ile zupełna obojętność, brak zbiorowego odruchu, niechęć, czy po prostu niewiara w skuteczność jakiegokolwiek interwencji. Przecież tak często jesteśmy świadkami chamsztwa, brutalności, często przekraczającymi prawo, licząc właśnie na tę naszą bierność.

W nr. 20 „Odrodzenia” — Józef Sieradzki przeciwstawia przykładom zdżdziczenia i rozkładu moralnego, zbrodniarzom i zwyrodniałcom, rekrutującym się nawet ze środowiska odziedziczonej z pokoleń kulturze — wyrostka wiejskiego, Józefa Opalkę, który podpatrzył sposob odbezpieczenia min u saperów, sam unfeszkoiliwit ich 7.450. Polowanie na miny stało się jego namiętnością, nie przerażała go nawet śmierć brata, którego wybuch rozszarpał. Tak pozornie ten imponujący przykład samotnego bohatera — nie może nam służyć za wzór. A przecież dokola nas tkwią w psychice, w wypowiedziach, w szepcanych sędach, pełnych nienawiści — właśnie pozostawione poble-rowskie miny. Każdy z nas może je z łatwością rozla-

dować rozsądnym argumentem, broszurą i przykładem. A najlepszy przykład to właśnie — praca, wspólna praca nad odbudową.

Odbudowa powinna być dwójaka — ta konkretna, z cegły i książki, i ta druga, wymagająca również mobilizacji wszystkich sił — odbudowa wewnętrzna, nawrót do etyki chrześcijańskiej, jej dyscyplin i bezkompromisowego rozdzielania — dobra i zła.

Młodziemu potrzeba mitu, zabłaskanie romantyczne, pomyłka polityczna zapędza tylu młodych do lasu. Ci, którzy próbowali partyzantki, wiedzą, jak łatwo przyciężycja się człowiek do zabijania, jak łatwo bandycje. Młodziemu trzeba ukazać wielkość i wyjątkowość nowych czasów. Słusznie pisze Sieradzki: „Musimy stworzyć obraz tej prawdy politycznej, gospodarczej, społecznej, militarnej, narodowej, mit wystarczający dla wielu pokoleń. Dajmy dzieciom romantyzm rozumnej ofiary, po tylu zawodnych próbach — nareszcie zwycięskiej. Gdy urosną, niech wezmą udział w budowaniu państwa moralności i etyki tam, gdzie dotąd buszowała grabież i krzywdy, a dziś wzrastają nowe osady i polskie rozbijają ekrazy pokłady węgla, kradzione go ciągu dziesiątków lat przez Niemców”.

Jesteśmy świadkami gorączkowej, ale i prostackiego montowania mitu przez retusz historii. Sprawy te, które dziś jednostronna propaganda próbuje nam tendencyjnie nasświetlić, są zbyt świeże, byśmy mogli bezkrytycznie uwierzyć. Za dużo nas żyło w ruchu podziemnym, by się z każdą interpretacją pogodzić. Dlatego młodymi demokratów, a żarliwych brązowników łapiemy stale na nieścisłościach. Próbuje ci pseudopublicyści tych samych metod, które wypychali przed cały naród legiony Pilsudskiego, monopolizując dla nich ostateczne rozstrzygnięcie i przyswile rządu. Wiemy dobrze, jakie „życiwi” uczucia żywią ludzie do sanacyjnych sterników i jak fatalnie zaciążyło na naszej historii przedwczesne ubóstwienie. Te dzieje nie mogą się powtórzyć. A jednak spryciarze, którzy na chęci zainkasować żołnierski walczącego na szlaku Lenino — Berlin, nie zaprzestają machania kadzielnicami.

Będąc w Warszawie, zwiedzałem w Muzeum Wojskowym wystawę „Konspiracja walcząca” — była tam broń zrutowa, zdobycza i ta, z uderzającą pomysłością wyprodukowana przez partyzantów. Było i słowo walczące — prasa podziemna. W drugiej części salę gablocie, znalazł się oprócz prasy AL-owej tylko jeden egzemplarz „Biuletynu Informacyjnego” — AK. Zbyt dobrane pamiętamy bogatą bibulę AK-owską, żebyśmy tym proporcjom mogli uwierzyć. Mała rzecz, a jakże charakterystyczna.

Drugi przykład cytuję za „Odnową”: „W wydawnictwie Biblioteki Uniwersytetów Robotniczych ukazała się „Socjologia partii politycznej” Zygmunta i Feliksa Gross, „Czytelnik, Kraków, 1946, str. 168”, gdzie na stronie 88 czytamy:

„Sily wojskowe powstańców w dniu 1 sierpnia były następujące: 45 tysięcy AK, cztery plutony Armii Ludowej, dwa plutony Polskiej Armii Ludowej (PAL), dziesięć plutonów Korpusu Bezpieczeństwa (Organizacja Prawicowa). Poza tym w terenie w Lubelszczyźnie Armia Ludowa liczyła około 4 tysięcy ludzi.”

Cztery strony dalej, autorzy „Socjologii partii politycznej” konstatują:

„Powstanie warszawskie ma niewątpliwie silne elementa (?) proletariackie. Sze-cz-p-u-ty oddziały Armii Krajowej zasilane są przez robotników warszawskich, wspierane przez czysto proletariackie oddziały Polskiej Armii Ludowej i Armii Ludowej.”

Zasadniczo: powstanie warszawskie było pozaklasowe, walczyła cała ludność, bez różnic pochodzenia i stanowiska, o wspólne prawo do narodowego bytu i wolności.”

Brązownicy spiją barykady i rują rowy, szkoda w sprawie jednoczenia narodu. Aga.

Patrzemy na ekran

Honorowym prezydentem Kulturbundu zur demokratischen Erneuerung Deutschlands, organizacji nie ograniczającej się jedynie do pracy kulturalnej lecz jak sama nazwa wskazuje, mającej szersze polityczne założenia — jest Gerhard Hauptmann. Rok już prawie minął od owych dni październikowych zeszłego roku, kiedy to do Agnieszkowa pod Jelenią Górą, gdzie Hauptmann przebywa, przybyła delegacja sowieckiej władzy wojskowej w Niemczech i Kulturbundu. Jego prezydent Johannes R. Becher powiedział do Hauptmanna wówczas, siedzącego nieruchomo w fotelu: — Staliśmy się umyslowo i duchowo ubogim narodem. Proszę Pana o pomoc. Potrzebujemy Pana sily dla podniesienia i wzmocnienia Niemiec.

Hauptmann na to: — Jestem do dyspozycji, jestem gotów. Sprawozdania nie podaję, czy Hauptmann w tym momencie ożywił się, czy powstał z fotelu, zresztą wszystko to nie jest ważne. Chcemy stwierdzić tylko, że 83-letni poeta zdaje sobie dokładnie sprawę z manifestowanego przez siebie stosunku do nowych zadań, nowej rzeczywistości niemieckiej. Próby usprawiedliwiania go ze strony polskiej, że jest zdzicinniałym starcem, że nie należy brać jego słów na serio, że boi się własnego cienia — są szkodliwe i przesłaniają ostrość postaci Hauptmanna na tle nowych prądów odrodzeniowych w Niemczech. Nie może być zdzicinniałym człowiekiem, który jest („Taegliche Rundschau”, organ sowieckiej władzy okupacyjnej) prosto i wyraźnie, wracając do swoich początków literackich: „Moje korzenie literackie tkwią w Tolstoj... Pędy, które u nas wschodzą, pochodzą w większej części z głębi rosyjskiej. Podczas gdy to piszę, myślę o pierwszych cieżgodynych odwiedzeniach, które spotkały mnie w mojej samotności ze strony nowej Rosji.” Nie, To nie jest zdzicinniałą starość, to polityka i to mądra polityka. Wyraża ją nie tylko honorowy prezydent Kulturbundu ale i wszyscy inni przedstawiciele kultury niemieckiej. Nie dobrze jest, że z człowiekiem ten siedzi na polskiej ziemi, że ze względu na swą światową sławę i znaczenie korzysta z opieki polskiej.

Pamiętajmy o tym, że każdy Niemiec myślał o odrodzeniu ducha niemieckiego wspomina Hauptmanna, chwali jego politykę, wspomina Karkonose, którym przeciwie teze Hauptmann wystawił w dziełach swoich pomnik wspaniały. Już gdzieś na łamach prasy niemieckiej spotkałem się z powiedzeniem: „Der auf deutschem Boden sitzende Hauptmann”. Wzrok obrócony precyzyjnie Polsce. Bo tam siedzi Polacy. Nadzieja związana z Hauptmannem jest równocześnie niemiecką nadzieją w stosunku do Śląska. „On tam siedzi — pisało niedawno w „Das Volk” — On tam trwa. Stajuszek ale jaki żywy. On jeden nie opuszcza tej ziemi, która jest nie tylko niemiecka z historią ale także przez to, że On ją uwiecznił w swojej niemieckiej sztuce.”

Poddaje ten fakt pod rozwagę społeczeństwa polskiego. Drobnym ten szczegół przebywania Hauptmanna na polskim terytorium Śląska urosł w Niemczech do wielkości symbolu wytrwania narodowego i niemieckiego Śląska. Z tego pobytu rodzi się wciąż nadzieja, że wszyscy oni tu powrócą i że natchnieniem, płynące z Agnieszkowa dla Kulturbundu i idei odbudowy Niemiec przywoła ich tu zpowrotem.

Czy nie będzie lepiej, jeśli wyperswadujemy Hauptmannowi, że powinien wyjechać, skoro nie chcemy go wysiedlać w ramach naszych możliwości w tej sprawie? Pragniemy, by na te tematy wypowiedzieli się Polacy. W każdym razie orientując się w prądach i nastrojach niemieckich, uważamy, że pobyt Hauptmanna na terytorium polskiego Śląska jest niepotrzebny i szkodliwy. Niemców zanadto wiąże ze Śląskiem, o którym winni już dawno byli zapomnieć a również w opinii szędzynarodowej zamęca obraz

trzyminy, to może uda nam się zobaczyć względnie podpatrzeć jakiś fragment ruchu czy strzęp rozmowy. Ale już za chwilę musimy kłusować, co mówię — galopować za następną serią zmieniających się szybko fotografii. Na dobitkę napisy na tym ciekawym pokazie ruchomej fotografii kłusują przedę od nas, tak, że w efekcie osobno jest obraz, osobno napis. A sens filmu umarli, jak to się mówi „w butach”. Nie tedy dziwnego, że wyprowadzona z równowagi publiczność tupie i gwizduje. Na szczęście jednak film się urywa i wszyscy wychodzą, z westchnieniem ulgi.

Zwracamy również uwagę kierownikom poszczególnych kinoteatrów na zupełną niewłaściwość wpuszczania na salę publiczności po rozpoczęciu sensu. Powstają przy tym głośnie targi o miejsce, żywe rozmowy ze znajomymi, spotkaniemi w kinie niespodzianie, dopiewne dialogi w ciemnościach oraz próby nawiązania kontaktu z ukochaną zagubioną w tłumie. Dobrze — jeżeli obraz jest kiepski, ale co zrobić, gdy film wart oglądać i to w skupieniu? — A może najprościej byłoby zamknąć drzwi wejściowe po rozpoczęciu sensu.

Wpisujemy to zatem P. T. kierownikom tubylezych kinoteatrów do sztambucha. Alba.

Dotychczasowy plan miesięcznika „Nauka i Sztuka”

(Dokończenie ze strony 7)

wykład pt. „Elektrofizyka mózgu”. Autor zwięzłej rozprawki zaznajamia czytelnika z badaniami działania prądów elektrycznych w mózgu zwierząt i człowieka i z próbami rozwiązania problemów: lokalizacji czynności mózgu i automatyzmu czynności mózgu przy pomocy metody elektroencefalograficznej. Stwierdza, że w pewnych warunkach zwoje kory mózgowej przejawiają czynność samodzielną, niezależną od bodźców z zewnątrz idących. Akty twórcze myśli człowieka są związane z samodzielną, automatyczną czynnością komórek zwojowych i nie można ich wiązać w „maszyny odruchowe” naszego mózgu. Dział sprawozdany numeru styczniowego jest bardzo wartościowy. Daje interesujący przegląd naszego obecnego życia uniwersyteckiego i przegląd wydzawnictw. Na uwagę zasługuje książka wydana z końcem roku 1944 w Londynie przez Polaków oraz ich przyjaciół angielskich pt. „The Nazi Culture in Poland”.

Zeszyty „Nauki i Sztuki” z lutego i marca kontynuują linię zasadniczą zeszytu styczniowego. W numerze lutowym jest dalszy ciąg rozpraw: Ingardena i Plomińskiego. Historię literatury reprezentują prace: J. Kleiner (Epilog), „Pana Tadeusza”, St. Pijonia; „Goście zka świata na Weselu” i wspomnienie Stan. Marczaka-Oborskiego o miodych literatach poległych w Warszawie.

Numer z marca przynosi pracę: Jana St. Bystronia o dziejach Warszawy w latach: 1815-1831 i Stefana Kuczyńskiego: „O początkach Rusi”. Ludwik Skurzak charakteryzuje cywilizację dorzecza Indusa, a Ksawery Swierkowski udowadnia, że jeden z artykułów z roku 1830, podpisany imieniem i nazwiskiem Piotra Wyszockiego, był w rzeczywistości pióra „Maurycego Mochnackiego. Wacław Szubert w swej rozprawie pt. „Od walki z bezrobociem do polityki pełnego zatrudnienia” analizuje mało owocne wysiłki w celu zwalczenia bezrobocia okresu międzywojennego i obrazuje

Śląska, dokąd przyjeżdżają z Berlina wysokie piel-grzymki dla uczenia, „największego pisarza tamtych ziem”, jak to określiła „New York Herald Tribune”.

Członkiem Rady Prezydialnej Kulturbundu jest również prof. Vasmer, uczony-slawista, długoletni redaktor cenionego przez pracujących na polu słowianoznawstwa a szczególnie filologii słowiańskiej „Archiv für slawische Philologie”. Dziwnym się, że ów Vasmer, pozostający przecieź w serdecznych stosunkach przedwojennych z uczonymi polskimi, może podpisywać się pod programem Kulturbundu, który — jak już zaznaczono wyżej — nie ogranicza się do samej akcji kulturalnej ale opiera się na szerokiej platformie ideowo-politycznej. I tu właśnie coraz częściej pośrednio lub nawet bezpośrednio napada na Polskę. Co z tego, że radio berlińskie przypomina słuchaczom niemieckiemu Sienkiewicza, że nadaje zradiofonizowane fragmenty z „Chłopów” Reymonta? Co z tego, że na łamach pism niemieckich pokazywały się niedawno nieliczne i na ogół niewinnie wyglądające zdjęcia z likwidowania Żydów polskich? Kiedy obok tego nurtu płynie nurt drugi, nienawistny, wrogie podkop pod pozycję polskie. Nie zawsze łatwo dostrzeć jego kierunek, jak to ma miejsce z Agniesz-kowem.

Polacy i ten problem muszą przemysleć.

Podkopy są i czynione są nieraz na oczach aliantów i co gorsza, nieraz z ich walną pomocą. Jeśli w piśmie angielskich ukazują się artykuły, stwierdzające bez żenady, że przyczyną głodu w Europie a szczególnie w Niemczech są odwrane ich tereny wschodnie („Daily Herald”), jeśli wskazuje się nawet palcem na sposób uzdrowienia tych stosunków, stwierdzając obłudnie, że przywrócenie Niemcom naszych Ziemi Odzyskanych podniesie ich dobrobyt i uwno kraje zachodnie od niesienia Niemcom zbyt wielkiej pomocy żywnościowej, jeśli tak pisze prasa narodów, w których obronie Polska straciła tysiące najlepszych swoich synów, to cóż innego spodziewać się możemy po Niemcach?

Już nie należało by się pytać, co robią Niemcy, lecz raczej zapytać się, czego oni w końcu nie robią. Bo robią wszystko. Odbudowują się w gwałtownym tempie na wszystkich platformach życia. Podróżując po Niemczech widzi się co prawda jeszcze wiele gruzy w miastach, ale widzi się także tysiące zdyscyplinowanych robotników, kobiety w zawołani na głowie i w roboczych spodniach, pracujące przy taskach, z łopatą, przy kierownicy samochodu. Wypuszczone w strafe angielskiej blisko milion nowych podręczników szkolnych, dzieci mają je dostać za darmo. Wyszło wiele księzek dla dzieci, które w większości rozdaje się za darmo lub po minimalnych cenach. We Frankfurcie nad Menem pokazywały się początki z życia w języku polskim. Drukują je miejscowa księgarnia niemiecka, sprzedając je przebywającym tam Polakom. Byle handel szedł. W tymże Frankfurtu pokazali się gry w wojnę polsko-niemiecką. Wygrawa ten, kto ma więcej szczęścia. Jacy oni łaskawi. Zapowiada się powstanie dwóch nowych pism humanistycznych. Dają się do jedności za wszelką cenę. Nie zważa się już w tym dążeniu na możliwość zdemaskowania prawdziwych celów takiej jedności. W Hanno-
werze dwa tygodnie temu przywódcą socjal-demokratów Ulbricht grzmił, „My sami oczekamy na chwile, aż runą granice!” Czy tak może mówić polityk, który przed sobą widzi nie tylko granice Niemiec, ale granice państwa? Organ nowej, połączonej partii niemieckiej DEP, „Neues Deutschland” z dnia 10 maja, pomstuje przeciwko separatyzmowi, który zdaniem pi-sma są wrogami niemieckich demokratów i antyfaszystów. A separatysi nie innego nie chcą, jak tylko podziału Niemiec na drobniejsze organizmy państwowe, a więc idąc po linii życzeń całej zamalutowanej Europy. Co z tego wszystkiego wyniknie? Kiedy będzie koniec tej ofensywnie odrodzenia niemieckiego? Który z aliantów zdenerwuje się pierwszy?

A okupanci tymczasem nie uzgodnili dotąd swej H-nii postępowania. „Associated Press” w dniu 8 maja doniosła, że niepowodzenie w osiągnięciu wspólnej polityki traktowania Niemiec jako politycznej jednostki zezwoliło przywódcom niemieckim politycznym związków zawodowych na wygrawanie politycznego jednego mocarstwa okupacyjnego przeciwko drugiemu.

Chyba nigdzie w świecie niema tylu niezadowolonych problemów jak w Niemczech. Denazyfikacja oto jeden z najbardziej krzyzących. Wszystkie te problemy rozwijają się lub zalatwiają właściwie same. Już o to dbają Niemcy. Ale że nie wyjdzie to na korzyść pokoleń świata, to rzecz pewna.

Na koniec parę słów pro domo sua. Rubryka nasza, jedyna w prasie polskiej i zagranicznej spotyka się z dużym zainteresowaniem i solidarnością. Przekręcają ją często pisma czeskie, lojalnie przyznając, skąd czerpią te wiadomości. Nie jesteśmy agencją płatną jak ZAP i dlatego powołanie się na źródło jest prostą grzecznocią wobec naszej pracy. Tymczasem w prasie polskiej grzecznoscią ta jest nieznamna, a natomiast przyjęły się gorsze jeszcze obyczaje. Oto bierzemy się żywym nasze wiadomości, podlewamy sosem metnej frazeologii i podajemy bezczelnie za własną korespondencją z Berlina. Mistrzynią lub mistrzem w tym jest niejaki(a) Z. Roym, którego korespondencje „z Niemiec” są w dużej części powtórzeniem naszych wiadomości. Możemy to w każdej chwili wykażać na przykładach (por. np. nr. wrocławskiego „Pioniera” z dnia 17 maja, artykuł wstępny o niemieckich „kon-niach trojańskich”). Te „własne korespondencje” propaguje API. Nie mamy nic przeciwko temu, że się nasze wiadomości przekręcają, niech się je rozpowszechnia — ale podawanie je przez łatwego dziennikarzynę za „własne korespondencje” z Niemiec jest nieprzystojne i napiętnowania godne. Nie godzi się to z etyką dziennikarską ani trochę. (Wisz)

skich uczonych, to też z korzyścią zapozna się z nimi fachowiec: pracownik naukowy. Przeważają nauki humanistyczne, ale i ważne osiągnięcia i problemy: fizyki, chemii, biologii i fizjologii znajdują swoje echa. Interesujący i bardzo pożyteczny jest dział pod nazwą „Przegląd”. Należało by jednak nieco więcej informować o pracach uczonych zachodnioeuropejskich i amerykańskich i o kierunkach twórczości naukowej i polityki kulturalnej w Sowieciach. Tak długo byliśmy odcięci od świata, że teraz tym dotkliwiej odozwamy brak kontaktu. Zwałnacza nasze związki z nauką i w ogóle kulturą Zachodu — ciągle jeszcze są słabe, nikłe. Sprawozdanie A. Prejzisa za pracy Anglików i Amerykanów dobry zrobił początek. Format miesięcznika praktyczny i estetyczny. „Nauka i Sztuka”, poza „Problemami” i „Życiem Nauki”, spełnia ważne zadanie kulturalne: utrwalania zdobyczy nauki i zaznajamiania z jej potrzebami. Zdzisław Obrzud.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szweczyk. Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II pi.) tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart: 80 zł, Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice. 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik” — R 17052